

Łoś Wincenty

DZISIEJSZE MAŁŻEŃSTWA

DO HRABIEGO K. J.

Zapewne zapomniałeś, jakieśmy się lat temu kilka znaleźli w
Proskirowie,
zaskoczeni zawieją śniegową, niemogąc dalej odbyć naszej
podróży. W pierwszej
chwili położenie wydało nam się przykrem; mogący się
przeciwnie pobyć w
podolskiej mieścinie, przestraszał nas. Wieczorem po kilku
filizankach
rossyjskiej herbaty, odzyskałeś swój zwykły humor swoją
nieocenioną, werwę
opowiadania. Przebiegałeś w pamięci minione wypadki, dzieje
Twoich znajomych
rozproszonych po świecie, których znałeś w Twych
wycieczkach, z którymi wiązały
Cię wspomnienia — i już-to ściślejsze, już-to dalsze stosunki.
Opowiadałeś
malowniczo, nadzwyczajnym interesem ożywiałeś wypadki,
których teatrem były
salony polskie i stolice europejskie, aktorami ludzie dla
których odczuwałem nie zawsze
sympatyę, lecz często współczucie.
Wyraziłem życzenie moje ogłoszenia tych salonowych
opowiadań drukiem, życzenie
wówczas gorące, lecz które czas ochłodził.

Dopiero niedawno, przebiegając myślą przeszłość,
przypomniałem sobie
Proskirowską karczmę, Ciebie przyjacielu, ożywionego
własnym opowiadaniem
wypadków, któreś obdarzał uśmiechem i łzą często na
wspomnienie ich bohaterów.
Opowiadania całe odżyły w mej pamięci, oraz charaktery
występujących w nich
osób, jakieś mi je przedstawił.
Spisałem je; przepraszam, jeśli nie dość wiernie i nie tak
dobrze, jakbyś je
chciał widzieć.
Nie weźmiesz mi za złe, że zmieniłem nazwiska, cofnąłem lub
posunąłem daty;
opowiadania Twoje zawsze, choć nieudolnym piórem spisane,
zostaną wiernym
obrazem salonów polskich ostatnich lat kilkudziesięciu.
A dałem im tytuł: "Dzisiejsze małżeństwa" — tytuł może i
właściwy, jeśli zważę,
iż w większej części opowiadań, był akt ten najważniejszy w
życiu, punktem
wyjścia. Sądzę również, iż mogę Ci poświęcić tę próbę pióra,
na pamiątkę miłych chwil
razem spędzonych. Jeżeli opowiadania te zainteresują jaką
piękną czytelniczkę,
będziesz wynagrodzony.
Ja z pokorą zniosę krytykę, o ile będzie dotyczyć ciasnych
granic w jakich jest
zamknięte opowiadanie. Kraków, styczeń .
Wincenty hr. Łoś. DO CZYTELNIKA. Opowiadania niniejsze,
niemające żadnej pretensji literackiej, chciałem umieścić
w fejttonach pism codziennych, uważając, iż nie zasługują na
uwagę należną

książce. A miałem o nich może zbyt dobre wyobrażenie,
sądząc iż dadzą się czytać
z interesem, który tak oceniają czytelnicy i czytelniczki
milionów arkuszy
drukowanej codzien bibuły.

Udałem się aż do trzech pism naszych, zdając na sąd
znakomitych
współpracowników, czy zasługują na miejsce w szpaltach ich
dzienników.

Niestety, odpowiedzi "jury" fejtetonów były dla mnie
niepomyślne.

Przytoczę je z góry, by nie zabierać czasu czytelnikom, nie
lubiącym czytać

rzeczy uznanych przez krytykę, za nieudane. Odpowiedzi
panów X. Y. i Z, brzmiały.

"Spełniając życzenie Pana, zwracam mu łaskawie mi
powierzone manuskrypta,
żałując bardzo, iż mimo rzeczywistych zalet nowelek,
korzystać z nich nie mogę.

X." "Szanowny Panie! Odczytałem nowelki zaraz: przekonałem
się jednak, że między mną a Panem zachodzą
ważne różnice, w pojmowaniu artystycznych warunków i
zadań nowelli. Nie

utrzymuję, iżby słuszność była po mojej stronie, ale przyznaję
szczerze, iż

uznając talent autora, nie mogę odczuwać sympatii dla
kierunku jaki sobie obrał.

Y." "Szanowny Panie! W nowelli może być nawet mniej
fabuły, niż w niektórych Pańskich powiastkach;
dość jest lekkiego zarysu, fragmentu fabuły; ale w ramach
takiego zarysu, wymaga

się chociażby rzucenia jakiegoś problemu psychologicznego. W pańskich powiastkach niema nic prócz fabuły, która w drobnej quasi-nowelli nie może się dość rozwinąć i zawikłać, żeby sama przez się stała się dosyć interesującą. Ludzi, ich temperamentu, ich uczuć i psychologicznego tych uczuć wycieniowania, nie znać zgoła. Niema nawet akcesoryów w nowelli niezbędnych; ten jest wzgląd zasadniczy, dla którego uważam Pańskie powiastki za nieudane
Z."

Jeszcze raz powtarzam, kończąc te kilka słów do Czytelnika, słowami jednego francuskiego pisarza, że książka ta obejdzie się bez przebaczenia, jak się uwalnia od tłumaczeń. Jeżeli ma jaką wartość, to chyba wartość aktów procesu; nie napada, nie rzuca potwarzy, tylko stwierdza.
I TAK BYWA.

"Nieprzypuszczalne przychodzi czasem w pomoc."
Hrabia Adamski, człowiek lat czterdziestu kilku, zajechał eleganckim ekwipażem przed fronton wspaniałego gmachu, nad którego bramą wznosił się napis w złożonych ogromnych literach: "Bank Marconiego i S-ki."
Wyskoczył z pojazdu i podążył po marmurowych schodach na pierwsze piętro, gdzie się drzwi szklane uchyliły same, a lokaj w bankowej liberyi z monogramami B. M.
S. prędko zdejmował z hrabiego lekko zarzucone futro.
— Pan dyrektor jest? — zapytał przybyły.

— Jest — odrzekł lokaj i uchylił drzwi na prawo. Podążmy za hrabią do kancelaryi

samego pana Marconiego. Dyrektor, człowiek lat pięćdziesięciu, niski, otyły, na twarzy rumiany, siwy, z wąsikami białym podkreconym, w złotych okularach, poważnie podszedł ku hrabiemu, któremu wskazał obok swego biórka fotel i zaraz zaczął.

— Co za śliczny zrobiłeś hrabia interes, sprzedając te Pomorzany; jaka cena, hm!

hm! I to dziś, gdy dla kapitałów takie świetne nastały czasy, gdy doprawdy,

powiem hrabiemu, my, my sami, naszym wierzycielom dajemy od sta dziesięć, dwanaście.

— Otóż chciałbym z panem pomówić właśnie o sposobie korzystnego i pewnego umieszczenia kapitału. Pojmujesz pan, że sprzedawszy me dobra dlatego tylko, że mi mały czyniły...

— Komuż dziś ziemia u nas czyni? to w Belgii... przerwał dyrektor, któremu hrabia nie pozwolił skończyć, i dalej mówił.

— Więc chciałbym znaleźć umieszczenie zyskowniejsze, lubo równie pewne...

— Co do pewności, nie mówmy: wszystkie u mnie zawiązane interesa, są pewne — przerwał sucho i spokojnie dyrektor.

— Nie wątpię — odrzekł hrabia — lecz widzisz pan, mając dzieci, syna już dorastającego, trzeba być przezornym; szukam też umieszczenia dla mego kapitału takiego, abym go w każdej chwili, w całości lub części, podnieść mógł.

Dyrektor się namyślał, po chwili przemówił spokojnie, ręką w której trzymał

papier, uderzając o stół. — Mam! — zawołał.

— Może akcje dla handlu i przemysłu?...

— Nie.

— A więc?

— Bank nasz wypuszcza w tych dniach akcje na przedsiębiorstwa budowlane w naszym mieście...

— A! słyszałem, ale....

— Zaczekaj hrabia, mamy miliony w naszych rękach; wszyscy kapitaliści należą i niezawodnie akcje w dniu wypuszczenia ich w kurs, będą rozebrane....

— Panie dyrektorze...

— Czekaj hrabia, gdybyś zechciał, tylko przez wzgląd iż tak dawno znam jego poważaną rodzinę, i od ś.p. ojca pana tyle w swoim czasie doznałem dobrego, mógłbym jeszcze coś pokręcić w dyrekcyi i wyrobić hrabiemu, iżbyś żądaną ilość akcji otrzymał. Rzecz jest pewna, miliony do dyspozycyi, plany budynków w tekach, rzemieślnicy z zagranicy zamówieni. Rachunki pewne wykazują ośmnaście procent; ja ręczę za dwanaście, nie licząc zysku na kapitale, który, bodaj czy na drugi dzień się nie podwoi.

Hrabia się namyślał.

— A pewność kapitału -ciągnął dalej dyrektor — czyż może być pewniej kapitał umieszczony, jak w murach wznoszących się w handlowem i bogatym mieście; w

domach, w których mieszkać będą ludzie; w pałacach, od których bankowi rząd, władze, wojsko płacić będą czynsze? Właśnie interes ten przedstawia się dobrze ze strony swej pewności raczej, niż ze strony zysku. — Zapewne — mruknął hrabia.

— Nie namawiam hrabiego, lecz tylko przedstawiam mu interes, który tak jak wszystkie przez nas prowadzone, noszą jużto mniejsze, jużto większe cechy pewności i zysku.

— Tak mi więc dyrektor, nie jako dyrektor, lecz jako mój dawny znajomy, przyjaciel domu naszego, radzisz? — zapytał hrabia.

— Dziś... dziś... ten interes radzę.

— Więc się decyduję.

— Jaki kapitał pragniesz hrabia umieścić w akeyach budowli — zapytał dyrektor,

biorąc ołówek do ręki i zabierając się do notowania.

— Pół miliona reńskich.

Dyrektor spuścił oczy i notując, niby od niechcienia zapytał.

— A cóż z resztą zrobisz pan, bo mi się zdaje, iż nabywca Pomorzan wypłacił

tysięcy. Przepraszam za niedyskrecję.

— Nie jestem zdecydowany, może kupię jaki majątek, może...

— Pół miliona — szepnął cicho dyrektor.

— Dziś to nic — mruknął hrabia.

— Lub mało co więcej — odrzekł pan Marconi.

Dyrektor zadzwonił w dzwonek leżący na biurku, a obracając się zaraz do

wchodzącego służącego, zawołał.

— Moja karetka! — Do hrabiego zaś rzekł: — Zaraz jadę do księcia, by mu donieść

iż hrabia pragniesz wejść w poczet fundatorów nowego banku,
którego on zapewne będzie prezesem i
głównym założycielem. Hrabia wstał; wstał i dyrektor.
— Jutro czekam hrabiego tutaj o dziesiątej, dziś posiedzenie
założycieli u
księcia o -mej wieczorem. Uprzedzę, że hrabia będziesz.
— Do widzenia z panem — dodał hrabia podając rękę
dyrektorowi, który zatrzymując
ją i uśmiechając się dodał.
— Nie trzymam hrabiego za słowo, jeśli byś się rozmyślił,
jeśli by może pani
hrabina była przeciwną...
— Wątpię, bardzo wątpię; możesz dyrektor na mnie liczyć —
odrzekł Adamski,
zmierając ku drzwiom.
— Paniętaj hrabia — wołał jeszcze dyrektor — jeżeli się nie
rozmyślisz, dziś o
siódmej u księcia bardzo ważne posiedzenie.
W kilka minut potem, kare konie unosiły zamyślonego
hrabiego, który jakby się
obudził, gdy ekwipaż wjeżdżał w bramę jego pałacyku.
— Czy wyprzęgnąć? — zapytał furman.
— Wyprzęgnąć, a o siódmej bądź gotów.* * *W cztery lata
potem, ten sam ekwipaż stał przed pałacem, nad którego
bramą
wznosił się napis "Bank Marconiego i S-ki."
Stał długo, bo furman dawał ciągle znaki niecierpliwości, a
konie przebierały
nogami. W bramie ukazał się hr. Adamski, za nim młody
człowiek modnie ubrany, o
szlachetnych rysach twarzy, brunet bez zarostu, wysoki i
barczysty.

Portier uchylił drzwiczki pojazdu, do którego wszedł hrabia, a za nim

młodzieniec. Konie ruszyły.

— Słyszałeś, co powiedział Marconi?

— Słyszałem ojciec.

— Jesteśmy więc zrujnowani! zrujnowani!... rozumiesz?

Zostają nam resztki, z

których żyć trudno, a cóż dopiero podtrzymać majątek

odziedziczony w Rossyi.

Dziś o naszej ruinie nikt nie wie, jutro będzie głośną!

— Więc trzeba ratować, co można; wszak Marconi mówił — odrzekł syn hrabiego,

Jarosław — że dziś można za akcye wziąć po dwadzieścia i pięć. a więc jedną

czwartą tego, co ojciec dał. Więc to uratujmy!

— Toś nie zrozumiał rzeczy — zawołał niecierpliwie ojciec

— dziś akcye które

placiłem po sto, stoją po dwadzieścia i pięć, lecz gdybym zechciał puścić w kurs

moje, akcyi, toby dziś jeszcze spadły na zero. Za sobą pociągnąłbym

innych, którzy jeszcze łudzą: księcia, który dotąd wierzy, i

Marconiego, który

dla podtrzymania upadłego banku, na giełdzie mniejsze partyę po dwadzieścia i

pięć kupuje. Rozumiesz teraz.

— Rozumiem — odrzekł Jarosław z przerażeniem.

— Dlatego tak się Marconi prosił, bym czekał, tak obiecywał.

Puszczając pięć

tysięcy akcyi budowli w kurs, sprawia na giełdzie pospolite ruszenie. Za pierwszych sto, daliby po

dwadzieścia i pięć; sam bank ty je wykupił, bo tak robi resztkami kapitałów. Za

drugich sto, daliby po , a na trzecie sto nie byłoby kupca.
Zrobiłby się
alarm, a bankrutwo moje i banku stałoby się głośnie. Prędzej
możnaby coś
uratować, wchodząc w układy z samym bankiem, który może
jeszcze dla podtrzymania
się, dałby za swoje akeye, coby miał, lub mógł dostać
gotówki. Jesteśmy
zrujnowani, niema o czym mówić: czy uratujemy tyle, czy
tyle, rzecz zostanie ta
sama.

Jarosław ukryty w kącie powozu, myślał.

Zamilkł i hrabia; po chwili podniósł głos.

— Dla utrzymania się przy majątku, któryśmy odziedziczyli w
Rossyi, potrzeba
kapitału którego nie mamy.

Znów nastąpiła chwila milczenia.

— Niepodobna się z dnia na dzień zredukować, wyprzedać,
zerwać stosunki, poprostu
zbankrutować.

Jarosław milczał.

Powóz się zatrzymał. Hrabia w stanie gorączkowym wychylił
się, by widzieć gdzie.

Byli już pod własnym domem.

— Jedź dalej — zawołał do furmana.

— Dokąd? — zapytał tenże.

— Na około miasta, gdzie chcesz! Potrzebuję powietrza —
dodał obracając się do

syna. — Jedyne ratunek dla podtrzymania domu, leży w
twojem ożenieniu..... — Ożenieniu? — przerwał młodzieniec.

— Panna Z., którąś wczoraj u margrabstwa poznał, jest bogatą
"a milions", jak

mówią; jest dobrze wychowaną, dobrego domu i ładną, co może przy tylu zaletach najważniejsze. Książę mi zaręcza, żeby ci ją dali.

— Więc już o tem była mowa? — zapytał z ironicznym uśmiechem Jarosław.

— Jestto jedyna mądra rzecz i na czasie, jakabyś mógł zrobić. Jutro będzie może zapóźno, bo by cię nie chcieli. Dziś jesteś... uchodzisz za bogatego; jutro nie będziesz miał nic.

— Ależ to byłoby oszukaństwo...

— To są frazesy — przerwał hrabia.

— Ależ ona mi się, jeśli mam prawdę powiedzieć, zupełnie niepodoba — twierdził spokojnie Jarosław.

— To ci się będzie podobać -odrzekł ojciec, i dalej ciągnął: — Są pewne chwile w życiu człowieka, w których musi on zrobić poświęcenie ze swego "ja" dla nazwiska które nosi, dla tradycyi, rodziny, jeśli nie dla siebie. Ta chwila dla ciebie nadeszła, nadeszła w uroczej postaci panny Z., co także się nie każdemu zdarza.

Inni w daleko lepszych warunkach, nie spotkali fortuny podającej im ręki pod tak uroczą postacią. Nie mówiłbym ci o tem, gdyby to tylko o mnie, lub o ciebie chodziło, ale tu chodzi o nazwisko, kilkaset lat majątkowo świetnie

reprezentowane. Dziś jesteśmy, żyjemy, jutro nas nie będzie. Ratunek jest w twoich rękach. Namyśl się: księżna ofiaruje się z pomocą, i nie będziesz nawet wiedział kiedy... Ależ ojczy, panna Z. mi się zupełnie...

— Często dopiero po ślubie panny się podobają — odparł z uśmiechem hrabia.

— Być może — zawołał Jarosław — ale pod tym względem mam usposobienie...

— Usposobienie, quelle farce!

— Zawsze marzę, marzyłem o pewnym uczuciu w małżeństwie, zawsze pragnąłem...

— L'amour passe, l'argent reste — ostro i tonem, z jakim się mówi dogmat,

zawołał ojciec, i równocześnie pociągnął za sznurek, którym to ruchem zatrzymał

powóz. — Podjedź pod klub — rozkazał do furmana, a obracając się do syna, dodał:

— Ja tu zostanę, ty każ się odwieźć, gdzie chcesz.

Powóz stanął.

— Do widzenia! — mówił wychodząc hrabia — pomyśl nad tem com ci powiedział, a

nie zapomnij, że dziś wieczór u baronowej; będzie i księżna

— kończył, zamykając

drzwiczki karety.

Wieczorem w oświetlonych salonach baronowej Jarosław tańczył kadryla z księżną,

a kotyliona z panną Z., różową blondynką, wysmukłą, śliczną o niebieskich

oczach, postacią. W kilka miesięcy po balu u baronowej, a było to w jesieni, w Sinotrynie, na

dworcu kolei żelaznej, formalne było zbiegowisko. Urzędnicy, wojskowi,

włóścianie i różnych klas ludzie, spacerowali po peronie czekając na tuż mający

nadejść pociąg.

Przed dworcem stało kilka pojazdów i wozów. Między niemi zwracał uwagę

czterokonny ekwipaż, świeży, lśniący, ze służbą w białych krawatach i kozakami, którzy się koło niego kręcili.

— Co to? — pytali nieświadomi rzeczy.

— To młody hrabia Adamski, dziedzic Smotryna zjeżdża ze swą młodą, a bogatą żoną.

Tu następowały uwagi, pytania i opowiadania, jak ś.p. pan Anastazy umarł, jak w długach zostawił, od wieków będący w rodzinie Smotryn, jak hr. Jarosław się ożenił, a jak bogato i t.d.

Nadszedł pociąg.

Służba porwała z wagonu rzeczy; wybiegła zawoalowana postać zgrabnej i wysmukłej pani, za nią Jarosław blady, smutnym uśmiechem witał na drodze jego stojących znajomych.

Podjechała karetka; kozak drzwiczki otworzył, Jarosław podał rękę pani, wsiadł sam i pojechał na Smotryński zamek z wielką deceptycją publiczności, na której to wszystko nie wesołe zrobiło wrażenie.

Gdy z miłości, czy z innych pobudek, dwoje młodych i takich, jak Jarosław i

Cecylia, bo tak jej było na imię, skojarzą się węzłem małżeńskim, to pierwsze

dnie miodowych miesięcy mijają zawsze uroczym. Jarosław był małomówny jednak, choć pełen uczucia na pozór dla żony; a ona

wesoła, szczęśliwa, robiła wrażenie róży rozkwitającej, jeszcze na pół w pączku zamkniętej,

Czwartego dnia ich pobytu w Sumotrynie, po obiedzie Cecylia zażądała, by

Jarosław jej swe życie opowiedział.

Jarosław się wymawiał, odkładał. Łza stanęła w oku młodej kobiety.

— Ty mnie nie kochasz! — zawołała.

— Jaka myśl — odrzekł zwykłym spokojnym tonem Jarosław.

— Tyś mnie nigdy nie kochał — ciągnęła Cecylia — ja to czułam prawie, a ja cię tak kocham!

Jarosław porwał żonę w swe objęcia i w pocałunkach zakończył tę kwestię.

I znów upłynęło dni kilkanaście, dni nie zaciemnionych żadną chmurką; Cecylia

wesoła i pełna życia, a Jarosław ulegający jej i w sposób cichy, spokojny, myśli jej odgadujący.

Pewnego poranku Jarosław uczuł się niesłychanie zmęczonym: chodził po pokoju

wielkimi krokami, ręką przeciągał co chwila po czole, przystawał w oknie i

bezmyślny wzrok puszczał w pruszącą śniegiem przestrzeń.

Wieczorem przy obiedzie rozmowa nie szła. Jarosław był rozdrażniony, dziwny:

zadawał pytania, lub odpowiadał na to, o co nie pytano.

Unikał sporzenia Cecylii, która ukradkiem na niego zerkiała, a gdyby był wówczas

wzrok swój po- dniósł, widziałby śliczne niebieskie oczy żony, jak mgłą zaszła.

Po obiedzie, wbrew zwyczajowi, udał się zaraz do swych pokoi, gdzie bezmyślnie

zaczął chodzić z kąta w kąt, trzymając ręce w kieszeni, wzdychając, to znów

poświstując. Robił wrażenie człowieka, w którego duszy coś się dzieje
niezwykłego.

Herbatę z wielkiem zdziwieniem kamerdynera, kazał sobie
podać u siebie.

Około godziny dziesiątej uczuł rodzaj gorączki i rzucił się na
kanapę.

Po chwili zapukano do drzwi.

— Kto tam?

— To ja, Klara. — Była to panna służąca Cecylii. — Czy pan
hrabia dziś u siebie

będzie spał? — zapytała przez drzwi, nieśmiało.

Zastanowił się Jarosław.

— U siebie... Powiedz pani że jutro bardzo rano wstać muszę.

I znów wpadł w bezmyślną zadumę. Zerwał się, popatrzył na
zagarek: wskazywał

północ.

— Okropność! — zawołał sam do siebie, ja jej nigdy kochać
nie będę!

Otworzył drzwi i cicho mijał salony prowadzące do pokoi
Cecylii.

Drzwi od jej pokoju zastał zamknięte. Przystanął, zaparł
oddech, jakby chciał

słuchać i usłyszał tłumione szlochanie. Przestraszył się i
uciekł. W swym pokoju rzucił się na fotel i płakał. Łzy w

niejednych chwilach przynoszą
ulgę.

Gdy powstał, uczuł potrzebę podzielenia się z kimś swym
smutkiem. Zatrzymawszy

wzrok na portrecie matki stojącym na biurku, porwał ćwiartkę
papieru i

gorączkowo zabrał się do pisania.

"Kochana matko! Jak nie kochałem mej narzeczonej, tak nie kocham mej żony.

Przebyłem dzień strasznej walki z sobą: czuję się spokojniejszym, lecz muszę się z tobą, droga matko, podzielić. Dzięki zasadom jakie we mnie wlałaś, uważam za

potworne, zabrawszy ośmnastoletniej istocie wszystko, nie dać jej w zamian

szczęścia. Dałem sobie słowo najuroczystsze, że choćby kosztem całego mojego

jestestwa, Cecylia będzie szczęśliwą i proszę tylko Boga, by się nie domyśliła

że jej nie kocham, ta miłością jakąbym kochać mógł....."

Długo jeszcze pisał, poczem schowawszy list do pugilaresu, spokojnie już położył

się spać.

I znów minęło dni kilka, w których Jarosław zdawał się odzyskiwać swój zwykły

spokój.

Cecylia zawsze z uśmiechem na ustach dla niego gotowym, często połykała łzę

cichaczem a znawca nieraz byłby dostrzegł chwilę, w której, całej swej kobiecej

i młodej, moralnej siły musiała użyć, by nie wybuchnąć płaczem, którym się z

nikim nie mogła podzielić.

Udawała, że żadnej nie spostrzega w mężu zmiany, że wszystko co tenże robi, jest

naturalnem i dla niej miłem Na wszystko z góry się zgadzała, a swym humorem, teraz już

wymuszonym, wesołością, której te kilka dni rozproszyć nie były w stanie,

sprowadzała nieraz jeszcze uśmiech, prawie szczęścia, na twarz Jarosława.

Jarosław też ze zdziwieniem podnosił oczy na młodą kobietę, ze zdziwieniem, jakby w niej odkrywał coś takiego, czego nie znał, czego się nie domyślał.

A gdy czasem, po kilkogodzinnem rozłączeniu, spostrzegł w oczach Cecylii ślady łez wylanych, jakby zdjęty litością, odzyskiwał nieznany jej znów humor, by ją rozweselić i mgłę na niebieskich oczach rozproszyć. Musiało to być męczące dla jednej i drugiej strony, a trwało dni kilka.

Pewnego dnia Cecylia była smutną, zadumaną, Jarosław gorączkowy, choć niby naturalny, nie opuszczał jej na krok i korzystał z chwil zadumy, by się jej przypatrywać. A gdy młoda kobieta podnosiła oczy, Jarosław swoje niezręcznie spuszczał.

Wieczorem w małym saloniku, przy sypialni Cecylii, on siedział przy kominku, wpatrując się w dogorywający ogień, ona czytała Menniki świeże. Ciekawsze ustępy głośno Jarosławowi odczytywała, i ztąd zawiązywała się konwersacja, prawie bezmyślna, gdyż Jarosław zdawał się roztargnionym i czegoś wyczekującym.

Dziesiąta uderzyła na staroświeckim zegarku, stojącym na kominku. — Dziesiąta! — zawołała Cecylia wstając. Złożyła gazety, zbliżyła się do kanapki na której siedział Jarosław, i podając mu białą rączkę:

— Dobranoc ci — wymówiła trochę ciszej, jakby tonem wzruszonym.

Jarosław powstał zmieszany, pochwycił podaną mu rączkę i zatrzymując ją w swojej:

— Dobranoc?—zapytał.

— Wszak pewnie pójdziesz do siebie jak zwykle — mówiła cicho, bardzo cicho,

Cecylia.

Jarosław przybliżył się do żony. Ona spuściła oczy, a on obejmując drugą ręką jej smukłą kibić, nachylił się do niej, wzrok swój wlepił w jej spuszczone oczy, rękę przyłożył do ust i równie cicho zapytał. — A gdybym nie chciał iść do siebie...

Jeszcze nie dokończył, Cecylia nie mogła dłużej powstrzymać płaczu który ją dusił. Szlochając rzuciła się w jego objęcia.

— Ja nie chcę iść do siebie — powtarzał Jarosław, trzymając bezsilną postać kobiety w swym ręku i okrywając jej włosy i oczy pocałunkami.

W kilka godzin potem, mimo iż silnym swym głosem zegarek powtarzał godziny i kwadranse, Jarosław klęczał jeszcze u nóg Cecylii.

— Więc dziś nie pójdziesz do siebie — zapytała nagle po dłuższym milczeniu, śmiejąc się i obiema rękami trzymając głowę klęczącego Jarosława. — Mam do ciebie prośbę — mówił cicho, odpowiadając Jarosław.

— Jaka?

— Byś mi nigdy tego nie przypomiwała.

— Czego? — pytała figlarnie Cecylia, bawiąc się jego włosami.

— Czego? tych kilku dni mego waryactwa.

Zaśmiała się Cecylia — i znów nic nie było słychać, tylko tik tak! zegarka,

czasem szeptanie, głośniejszy pocałunek, lub westchnienie.

Na drugi dzień wieczorem, Cecylia znów czytała: Jarosław słuchając przy kominku,

wyjął z pugilaesu zapisany papier i rzucił w ogień: * * *W dwa lata po przybyciu Jarosława do Smotryna, stary hrabia Adamski otrzymał

list. Po piśmie poznał, że od syna, rozerwał kopertę i czytał głośno żonie.

"Kochany ojczy! donoszę Ci, iż masz drugiego wnuka i to chłopca, dla którego

proszę o wasze błogosławieństwo. Będzie nosił twoje imię — i ty ojczy będziesz

go do chrztu trzymał. Nie uwierzysz, jak jestem szczęśliwy i to coraz

szczęśliwszy, a za to coraz bardziej cię kocham, bo tobie w całości szczęście me zawdzięczam. Dziś ci mogę powiedzieć, że oburzałem się, gdyś cię lat temu dwa

widział spokojnie, prawie radośnie patrzącego na związek mój z kobietą, któraś

mi narzucił, a którą dziś ubóstwiam. Czyżbyś miał lepiej mnie znać, niż sam

siebie znałem... nie wiem. Wiem tylko, że jestem szczęśliwy...

" etc. etc.

VILLA "BROL."

"Zapomina się cierpień; niewdzięczność nie istnieje dla boleści." Baron Iziński, sam powożąc parą gniadych do branych koni, zaprzężonych w

najpoprawniejszy sposób do świeżego i arcymodnego
amerykana, mijał zreźnie,
uwijające się po wielkiem mieście ekwipaże — i
wyciągniętym kłusem dążył w
kierunku wielkich fabryk pana Broła, leżących za miastem.
Baron mógł liczyć lat dwadzieścia i dwa, a był to blady
blondyn, z wyrazem,
którego główną cechą była malująca się prawie kobieca
słabość charakteru. Lekki,
trochę chorobliwy rumieniec, rzadkie faworyty, bystre i
dziwnie niespokojne
oczy, stanowiły wybitniejsze oznaki, tej zresztą sympatycznej
twarzy. Za nim,
czarno ubrany, w białym krawacie, ze złotym kolczykiem w
uchu, z założonemi na
piersiach rękami, siedział młody murzyn. Ekwipaż zdradzał
młodzieńca, że należy do złotej młodzieży miasta; że ma, lub
traci, czy stracił, duży majątek.
Wjechał w ulicę szeroka, na której się już nie uwijał świat
modny. To też baron
Edward mniej spotykał znajomych i całą uwagę skierował na
śliczne konie, które
jak jeden, unosiły wolant.
Na prawo i lewo mury, za którymi stały ogromne gmachy ze
swemi kominami i
buchającym z nich dymem, a z bram wyjeżdżały furgony
wyładowane beczkami, pakami
i t.p. W środku tych niezliczonych budowli stał gmach
trzy piętrowy, długi,
między pierwszym a drugim piętrem, noszący czarnemi
literami napis: "Główny
zarząd fabryk Broła i S-ki."

Baron wyminął ten gmach, skręcił w ulicę na prawo, ulicę na której zaczynały się najpiękniejsze wille miasta. Na lewo, za żelaznym parkanem o złożonych igłach, wspaniale przedstawiała się willa, z podciętemi gazonami, wodotryskiem, alejami wysypanymi piaskiem i temi szczegółami starannie wykończonemi, które willom nadają pozór elegancki, cechę zbytku dobrze zrozumianego. Była to willa pana Broła, który w niej odpoczywał po całodziennym turkocie i hałasie fabrycznym, po kilkudziesięcioletnim życiu pracy i abnegacyi.

Faeton się zatrzymał; Murzyn uchwycił białe lejce; baron lekki jak piórko, zeskoczył i wszedł za złożone sztachety. Edward ukazał się wnet potem znów pod pałacem, Murzyn przypomniał cugłami koniom, że pan niezadługo siądzie i wkrótce ekwipaż toczył się drogą, którą przybył z miasta.

Baron musiał zwolnić kroku na ulicy Pańskiej, gdzie przed pałacem hrabiny

Turskiej, przyjmującej dnia tego, ruch był nadzwyczajny ekwipaży i pieszych.

— Edwardzie! — zawołał ktoś z ulicy. Zatrzymał się baron.

— No! siadaj — zawołał poznając swego przyjaciela, Tola Kirskiego.

Tole wskoczył na wysoki kozioł.

— Zkąd wracasz? — zapytał Edward.

— Z recepcyi hrabiny Marty, a ty?

— Ja od Brołów.

— Jesteś zaręczony?

— Od wczoraj.

— Wiesz, że dotąd jeszcze nigdy nie widział twjej narzeczonej.

— Brunetka, śliczna figura i śliczna ręka, śliczne czarne oczy, jednym słowem piękna.

— A wyraz? — zapytał Tolo.

— Otóż w wyrazie twarzy, w ważkich ustach, w bystrem spojrzeniu, ma coś zdradzającego silną wolę, co mnie przestrasza.

— Czy jesteś zakochany? — pytał Tolo. — Zakochany? Nie, jeżeli mam prawdę powiedzieć, choć pracuję by w siebie wmówić miłość....

— I nie boisz się? — przerwał Kirski.

— Czego, albo to ja pierwszy żenię się...

— Dla majątku... dokończ!

— Powiedziałeś, lecz zlituj się, ani słowa nikomu. Cóż miałem robić, straciłem wszystko, a mam dwadzieścia i dwa lat, życie przedemną długie; zaczynam je, a zaczynać bez majątku, gdy go się zawsze miało...

— Rzecz nie do życzenia — dokończył Tolo — a gdzie jedziemy?

— Do opery, już czas, ty zemną!

— Dobrze.

— A! zapomniałem: ile posagu?

— Kwestyę tę obrabia mój ojciec z Brolem, ja się nie mieszam, wiedząc że są bardzo bogaci; pół miliona w dzień ślubu, to wiem.

— Pozwolisz mi się jeszcze o jedno zapytać? — dodał Tolo.

— Proszę.

— Czyś się zastanawiał, że panna Broł jest zupełnie w innym wychowana świecie?

że świat, w który ją będziesz chciał wprowadzić, może...

— Się skrzywi — chcesz powiedzieć — dokończył baron. —

Mylisz się, w naszym

wieku na miliony się nie krzywią.

— Ale widzisz, w tem samym mieście... — Mam tylu

potężnych krewnych.

Zajechali przed teatr, gdzie już ruch się zaczynał.* * *W kilka

miesiący potem, a było to w styczniu pod kościołem OO.

Kapucynów

rzęsisto oświetlonym, stało co najmniej sto ekwipaży. Śnieg

pruszył, zносиło

się na odwilż, czas był pochmurny.

Szósta godzina uderzyła na miejskim zegarze i równocześnie

dały się słyszeć w

kościelne organy.

Dwóch mężczyzn, których twarze rozpoznać nie było można,

szło pusta ulicą w

stronę kościoła, trzymając się za ręce.

— A co to? — zapytał jeden podeszły.

— To nie wiesz? ślub Izińskiego z panną Broł.

— Prawda! Ale cóż znaczy, żeśmy dopiero co spotkali na koncercie hrabinę Turską?

cóż znaczy, że dziś wieczoru księżnej? — pytał ten sam.

— Obecni są tylko najbliżsi krewni.

— Ależ Iziński przecież zawsze w najwyższych obracał się sferach, gdzie tylu ma

krewnych...

— Zkądże wracasz? — zawołał drugi — paupry na ulicach wiedzą, że tylko krewni i

to najbliżsi, są na ślubie Edwarda; dalsi i cała arystokracja, demonstrowała. Zamilkli, idąc dalej.

— Biedna panna — cicho szepnął pierwszy.* * *W półtora roku po ślubie Edwarda z piękną Brołówną, na rogach ulic miasta, rozlepiono ogromne plakaty, na których czytać było można: Na góry miejscowość położona u szczytu Karpat, w lesistej okolicy, z najpiękniejszymi widokami, urządzone z całym komfortem, dla swego powietrza zalecana przez lekarzy i od lat kilku ciesząca się niezwykłym powodzeniem, zostanie otwartą dnia czerwca r. b., etc. etc. Podążmy do Nagór, gdzie w połowie czerwca liczne już zgromadziło się towarzystwo. Między gośćmi znajdowali się baronostwo Izińscy z licznym dworem i córeczką kilkomiesięczną, którzy zjechawszy na dłuższy sezon dla zdrowia pani baronowej, wynajęli najpiękniejszą willę i trzymali dom otwarty. Często widziano baronową Laurę spacerującą po lesie z niańką, na której rękach spoczywało śliczne rumiane dziecko. Często na głównych spacerach spotykano barona Edwarda, w towarzystwie zwracającej wszystkich uwagę margrabiny Bemar, pierwszorzędnej elegantki, kobiety lat trzydziestu, pełnej życia i dowcipu francuskiego, który z mlekiem wyssała. Kto znał Laurę, kiedy jeszcze była tą posażną, jedynaczką, dumą starego Broła, byłby już dostrzegł na jej twarzy zmiany. Czarne duże oczy straciły swój

niezwykły blask, usta się zacisnęły, w toalecie objawiło się pewne zaniedbanie: figura nie tak dobrze suknią ujęta, rękawiczka nie zupełnie dopasowana. Uśmiech, który jej twarzy nie opuszczał, dziś igrał tylko gdy niemowlę wyciągało do swej matki drobniutkie rączki.

Laura знаła margrabinę, jednak towarzystwa jej nie lubiła. W Nagórach, w dnie słotne, smutne się pędziło życie. Jedni nie opuszczali domu, drudzy się nawzajem odwiedzali; mężczyźni siedzieli w czytelni lub strzelali do celu. Oto wszystko.

Jednego z takich dni dżdżystych, Edward wrócił po całodzienniej niebytności późno w wieczór do domu.

— Pani baronowa już śpi? — pytał wchodząc lokaja.

— Nie; pani baronowa czeka na pana — odrzekł tenże.

— Chce się zemną widzieć?

— Kazała prosić pana barona.

Edward zdziwiony, zaraz udał się do pokoju żony; zastał Laureę siedzącą na kanapie z książką w ręku, niby spokojną lecz przygnębioną, z nienaturalnym rumieńcem na twarzy.

— Czekam na ciebie — zawołała, widząc w progu Edwarda.

— Masz mi co do powiedzenia? — Mam z tobą do pomówienia — odrzekła zimno i wyraźnie — bądź łaskaw usiąść;

streszczę jak tylko będzie można, lecz zawsze musisz mi udzielić kilka lub kilkanaście minut.

Słucham! — zawołał Edward. Wyjął papierosa, zapalił, rzucił się na huśtający fotel.

Nastąpiła chwila milczenia, przerwała ją Laura.

— Otóż półtora roku, jak żyjemy razem — zaczęła tonem drżącym.

— Hm! hm! — mruknął Edward.

— Ten wstęp cię dziwi, więc zaraz przystąpię do rzeczy — ciągnęła Laura,

ożywiając ton mowy. — Nie myśl, bym miała do ciebie żal, żeś mnie szalenie cię

kochając, poślubił bez miłości. Wiedziałem to i tylko swojemu niedoświadczeniu

przypisuję nedorzeczną myśl, która mnie uwodziła, że skoro cię kocham, to ty

mnie kochać musisz. Małżeństwo nasze było kontraktem finansowym; ja ci dałam

wszystko, nie mówię tu o majątku, w zamian zostałam baronową, zostałam matką, w

czem wielką znajduję pociechę...

Edward chciał przerwać, bo łzy przeszkadzały Laurze; ona jednak nie pozwoliła.

— Pozwól — zawołała głośniej — powtarzam, że do ciebie nie mam żalu. To co mi

mój ojciec tym kontraktem zawarował, mam. Szaloną byłam, że chciałam miłości,

której nie widziałam z twojej strony. "Więc mnie nie oszukałeś.

Również nie mam

żalu do ciebie, że rodzina twoja niechętnie patrzy okiem na mnie, córkę

fabrykanta, która, jak powiedziała twoja siostra, może nosić

twoje nazwisko, ale do niczego więcej prawa nie ma. Okropne

to były ciosy dla ośmnastoletniej, wypieszczonej dziewczyny,
która świat w
różowych widziała barwach. Pomijam to wszystko.

Ożywiła się i wstała.

— Przypatrz mi się! — zawołała głośnie; a oczy jej
odzyskiwały dawny blask —
jestem piękną i młodą" jestem pod każdym względem hojnie
przez naturę uposażona,
mam prawo do szczęścia, którego nie znam, a które było
mojem marzeniem!

Odetchnęła.

— Zapewne żądasz odemnie, bym godnie nosiła nazwisko
które mi dałeś; zapewne
pragniesz bym z pokorą, spokojnie znosiła krzyż, który na
mnie włożyłeś. Więc
jeśli chcesz, bym do końca dopełniła wszystkich punktów
kontratu, to mnie
oszczędzaj jako kobietę, jeśli nie jako żonę, bo wszystko
zniosę, ale nie zniosę
bym nosząc twoje nazwisko, widziała inne kobiety, któreby...
nie dokończę...

Jestem dumną i nie zniosę by mnie palcem pokazywano: to
żona tego co... ach!

rozumiesz mnie, rozumiesz co cierpi kobieta, która cię
szalenie kocha, gdy cię
widzi u nóg innej!

Edward wstał, zmieszany.

— Możesz iść — dodała stłumionym głosem — oszczędź mi
tych tylko cierpień, a do
ciebie żadnej więcej nie będę miała pretensyi.

To powiedziawszy, przeszła do drugiego pokoju, od którego
drzwi za sobą

zamknęła. Na drugi dzień, około północy, Laura zadzwoniła na służącą,

— Czy pan baron wrócił? — zapytała.

— Nie.

Rano Edwarda nie było. Laura zwykłą odbywszy przechadzkę po lasach, z dzieckiem wracała do domu smutna, przygnębiona, z bólem głowy, który ją już kilka dni nie opuszczał. Oglądali się za nią wszyscy, coś szeptali, niektórzy się uśmiechali i żywo rozmawiali. Jeden z tych półuśmiechów dostrzegła Laura i przeczuła swoje nieszczęście.

W Nagórach wieść się jeszcze rano rozeszła, że baron Iziński zniknął z margrabina Bemar. Ktoś ich widział wieczorem dnia poprzedniego, używających spaceru na osłach w górach; świeżo przybyły gość twierdził że na stacyi kolei, w oknie mijającego pośpiesznego pociągu, poznał barona. Laura zastała listy z poczty, między memi list od Edwarda. "... Jestem ciębie niegodny: kochaj mnie dalej, jeżeli możesz, bo jeśli wrócę, będę twej miłości potrzebował. Zostawiam ci wszystko, a polecam dziecko, które tak jak ty kocham. Wrócę, gdy uczuje że mogę się wywiązać z kontraktu; nie szukaj mnie napróżu... "

Przeczytawszy ten list krótki i prawie niezrozumiały, Laura zbladła, upadła na fotel, na którym z oczami zamkniętymi, z zakrytą rękami twarzą siedziała ze trzy

godziny. Na drugi dzień rano, Laura używała w towarzystwie córki przechadzki, trochę bledsza niż zwykle, smutna jakby po małej przykrości.

Obudzała powszechne zdziwienie znajomych, którzy się spodziewali ujrzeć kobietę złamaną i moralnie zabita.

— Co za charakter! — mówili mężczyźni, Równocześnie Brol dostał telegram: "Edward wyjechał na dłuższy czas, ja spędzę w Nagórach zimę. Laura. "

Adwokat zaś Edwarda dostał w tym samym czasie telegram: "Maż mój wyjechał na dłużej. Proszę objąć interesa, wysłać zaraz pod adresem

margrabiny Bemar w Paryżu, dwanaście tysięcy franków i taką samą kwotę wysłać co półroku." — Podpisano. — "Baronowa."* * *Siedmnaście lat upłynęło, jak adwokat baronowej, zacny pan Molski, wysyłał co

pół roku w różne strony świata, po dwanaście tysięcy franków. Z nadchodzącym r. już myślał o wysyłce, gdy w ostatnich dniach grudnia,

otrzymał drogą urzędową przez konsulat francuski, papiery ważne w których

znajdował się akt dziedzictwa dla barona, dóbr odziedziczonych po stryju w gub.

wołyńskiej, i akt drugi sporządzony w Paryżu, wizowany w Petersburgu, mocą

którego baron na dobrach swych, na imię swej małżonki, zahypotekował summe dwukroć stutysięcy rubli.

Mecenas natychmiast uwiadomił o tem baronową, bawiącą chwilowo u matki swej,

pani Brol, niepokieszzonej po stracie małżonka.

Baronowa przyjęła tę wiadomość spokojnie, jakby o niej była uprzedzona. Poleciała tylko z wysłaniem pieniędzy się wstrzymać, tem więcej że pan Molski od pół roku stracił ślady barona. * * * W połowie stycznia r. w pośpiesznym pociągu pędzącym z Wiednia do Warszawy, w coupe pierwszej klasy, siedział mężczyzna lat czterdzieści mogący liczyć, i czytał "Figaro. "

Na twarzy tego mężczyzny, który był baronem Izińskim o lat siedmnaście starszym, malował się pewien niesmak, znudzenie, przesyty połączone z gorzkimi wyrzutami sumienia.

Długie miał faworyty, w wyrazie twarzy tkwiło więcej mękości i siły. Oto były zmiany, jakie na tej twarzy upłynione lata wyryły, na korzyść może barona, który jeśli dawniej robił wrażenie zniewieściałego młodzika, dziś był przystojnym mężczyzną, któremu przebyte koleje dodawały w wyrazie uroku męskiego.

O godzinie szóstej wieczorem stanął baron w Warszawie. Przebrawszy się, wyszedł i zaraz spotkał, idąc na czekoladę do Loursa, dawnego znajomego, którego lat temu trzy widział w Paryżu.

— A! niespodzianka! — zawołał Edmund Breme, podając rękę Edwardowi.

— Przyjechałem dopełnić niektórych formalności w sprawie dziedzictwa mego; przyjechałem w tej chwili, a wyjeżdżam jutro.

— Ja również tutaj od paru dni dopiero — mówił Edmund.

— Warszawa zrobiła się wielkiem i wspaniałem miastem;
byłem dzieckiem, gdym raz
ostatni ją widział — opowiadał Edward.

— Co robisz wieczorem? — zapytał Edmund.

— Nic, ja w Warszawie żadnych nigdy nie miałem stosunków,
nie mam znajomych.

— A jedziesz?

— Wracam — odrzekł krótko Edward, tonem który nie
przypuszczał nowego zapytania.

— Ale! — zawołał Edmund — dziś w salach ratuszowych bal
publiczny na cel

dobroczynny. Co tylko kraj posiada enfin pięknego i
świetnego, można widzieć, a

Warszawianki są śliczne: ja idę. Pójdziesz?

Edward się namyślał.

— Pójdę! — zawołał, zauważywszy iż bardzo mało
znajomych mógłby spotkać w

Warszawie — a nie życzył sobie spotkać nikogo.

Około godziny dziesiątej, w kącie ogromnej sali ratuszowej,
oparty o ścianę stał

Edward nieruchomy, z oczami wlepionemi w postać kobiety,
która na drugim końcu sali spełniała

obowiązki jednej z gospodyń balu.

Stał nieruchomy, a stał już długo. Przed oczami jego migały
się pary; co chwila

ktoś go za coś przepraszał, prosił by się ustąpił, usunął i t.p.

Cofnął się Edward i dalej w tym samym kierunku patrzył.

Około niego grupowało się coraz liczniejsze towarzystwo
mężczyzn, usuwających

się tańczącym pod ścianę.

Młody człowiek obok niego stojący, pytał jakiegoś

poważnego i udekorowanego

pana.

— Proszę mi powiedzieć, kto jest ta piękna kobieta w czarnej
aksamitnej sukni, z
brylantem we włosach, i ta śliczna panienska obok niej stojąca,
w różowej sukni.

— Nie znasz pan! To królowa dzisiejszego balu, matka z
córką, a trudno
powiedzieć która piękniejsza: to róża niedawno rozkwitła, to
pączek — mówił
stary.

Edward podśluchiwał.

— Ale kto, kto? — pytał młodzieniec.

— Baronowa Izińska z córką — rzekł poważny pan.

Edward zadrżał; słabo mu się zrobiło, jedną ręką uchwycił
przed nim stojący
fotel, nie uważając że na nim siedzi jakaś dama, drugą
pochwycił nerwowo
udekorowanego pana.

— Co panu? — zapytał tenże. — Ej! nie, straciłem
równowagę, mocno przepraszam.

W godzinę potem, do stojącego w tenże miejscu barona,
podbiegł młody człowiek.

— Przypominam się pamięci pana barona — zawołał, podając
mu rękę.

Edward się namyślał.

— A! książę Koryński — zawołał uśmiechając się —
przypominam sobie, lat temu
pięć w Londynie; nieprawdaż?

— Tak jest — odpowiedział książę — ale nie po to tylko aby
się przypomnieć
baronowi, szukałem go w tym kącie, tylko aby go prosić, byś
mnie przedstawił
pani baronowej,

Edward zbladł; książę go ciągnął za ramię. Może trochę później, teraz taki tłok... — usiłował tłumaczyć.

— Owszem, w tej chwili muzyka ustanie. Ot już sala się wypróżnia, patrz baron, córka pana siada przy matce. Teraz chwila, idziemy. Edward się głęboko zastanowił jakby myśli skupiając.
— Chodźmy.

Prosto z światowym półuśmiechem, z oczami wlepionymi w Laure, prowadził księcia w prostym kierunku krokiem pewnym. W połowie drogi byli, na środku sali, gdy baronowa na nich spojrzała i zbladła.

Edward przystanął i ściągnął brwi.

Laura roztoczyła wachlarz i zakryła nim pół twarzy; poznała go. Baron ruszył dalej; stanął przed baronową.

— Książę Koryński — wybełkotał głosem, którego u siebie nie znał.

Laura spuściła swe wielkie czarne oczy.

Książę uczuł coś dziwnego w powietrzu i cofnął się. Łza spadła na wachlarz Laury, a córka obok siedząca, skoro tylko obaj mężczyźni byli daleko, przysunęła się do matki i zapytała.

— Kto ten pan, co przedstawiał księcia?

— Twój ojciec! — odrzekła cicho, głosem który Liza pierwszy raz słyszała.

Edward stał przy drzwiach wchodowych, gdzie mógł wszystko widzieć, sam nie zwracając uwagi.

W przedpokoju o którego drzwi był oparty, usłyszał rozkaz wydany przez kamerdynera, donośnym głosem służbie.

— Kareta baronowej Izińskiej, zaraz!

— Zaraz! — powtórzył drugi.

Równocześnie, tuż obok barona stojąca dama, opowiadała drugiej, iż baronowej

Izińskiej zrobiło się słabo, wskutek czego milionowa baronówna, wielka partya w

kraju, musiała opuścić swój pierwszy bal.

Edward był au courant, wybiegł. Zarzucił futro i zbiegł po schodach.

Przed bramą stała kareta; poznał otwierającego drzwiczki murzyna. Panie

wchodziły do powozu, murzyn miał zamknąć drzwiczki, gdy w nich stanął Edward i z uśmiechem światowca zawsze pełnego galanteryi, uchylając kapelusza

zapytał:

— A dla mnie znajdzie się miejsce?

— Jest... czeka lat ośmnaście — odparła cicho Laura.

— Siedmnaście — sprostował Edward, wchodząc. Ręka bezprzytomnej Laury znalazła się rękach

Edwarda; wszystkie wspomnienia odżyły w kobiecie, oddechu jej brakowało!

— Lizo! czyś spodziewała się dziś poznać ojca? — zapytał po chwili baron.

— Nie, ale mama zawsze mówiła, że papa wróci — odrzekła śmiejąc się ustami,

oczami, całą swą osobą — a papa już więcej nas nie opuści?

— pytała, podając mu obie rączki.

Edward milczał.

— A co? — pytało dziewczę.

— Spytaj się mamy — odparł ojciec — to od niej zależy.

Kareta wjeżdżała w roztwartą bramę pałacu: * * * W maju tego samego roku, około godziny jedenastej rano, ogromny był ruch ekwipaży między kościołem Kapucynów a willą Brołowską. W przedsionku willi, baron Iziński przyjmował gości, reprezentantów nazwisk najznakomitszych w kraju, uczestników śniadania, dawanego dla dopiero co zaślubionej pary, księcia Koryńskiego z panną Lizą Izińską. Laura, chyba równie jak córka piękna, wesoła, szczęśliwa, robiła honory w salonach pierwszego piętra. Po śniadaniu goście odprowadzili na kolej dwie pary: księcia z Lizą, którzy się udawali do dóbr swych w gub. wołyńskiej i Edwarda z Laurą, udających się do Nagór. * * * W niespełna rok po tej uroczystości, murzyn nadawał we Florencji telegram tej treści: "Księżna Koryńska, gub. wołyńska. Derewa, Kornie. Masz braciszka. Laura."

MIĘDZYBÓR.

— "Dużo zależy od szczęścia" Zawieja śniegowa prószyła, hulała, po ukraińskich stepach. Sanki pocztowe, zaprężone parą chudych rysaków, z dzwonekami zdradzającymi ekstrapocztę, pędziły w stronę Międzyborza. W sankach siedział otulony mężczyzna. Na stacyi pocztowej Nowoja, zatrzymały się sanki, do których świeże zaprzęgano konie. — Międzybór daleko? — zapytał siedzący w sankach. — Jeszcze trzy mile — odpowiedział pocztylion — za godzinę będziemy; jeszcze

hrabiego w łóżku zastaniemy.

— Poganiaj! — zawołał mężczyzna i lepiej się w futro otulił.

O godzinie ósmej rano stanęły sanki pod kolumnadą Międzyborskiego zamku, o stu oknach frontowej fasady. Stary lokaj rozbierał mężczyznę, mogącego liczyć lat czterdzieści kilka; był on wysoki, barczysty, z blond brodą w której się znajdowały siwe włosy.

— Pan hrabia w domu? — zapytał.

— W domu, przy śniadaniu.

— Proszę zameldować: Czerski, adwokat z Kijowa.

Służący poszedł naprzód, a za nim dążył Czerski po brudnych marmurowych schodach, opartych na dwóch satyrach monstrialnej wielkości.

Nim Czerski znalazł się w przedpokoju pierwszego piętra, lokaj uchylał podwoje o sławnych rzeźbach do ogromnej sali.

— Pan hrabia prosi.

Czerski przeszedł przez salę kolosalnych rozmiarów, w której na prawo i na lewo kłaniali mu się zgromadzeni ludzie, po większej części żydzi, czekający widocznie na posłuchanie u hrabiego.

Uchyliły się drugie drzwi i Czerski znalazł się naprzeciw podającego mu rękę, hrabiego Augusta Międzyborskiego.

— Czekałem mecenasa.

— Wczoraj rano opuściłem Kijów.

Hrabia zadzwonił i do wchodzącego lokaja rzekł:

— Śniadanie zaraz!

Obracając się zaś do adwokata, mówił:

— Przyjechałeś pan na czas, wszyscy wierzyciele
zgromadzeni. Dziś w nocy
przybyła, moja główna bieda, agent banku Mendelsohna.
Wniesiono śniadanie, do którego się zabrał Czerski, a hrabia
tymczasem
porządkował papiery.
Hrabia August mógł liczyć lat dwadzieścia ośm. Był to brunet
średniego wzrostu,
z krótko ostrzyżoną, brodą, rzadkim wąsem, blady i chudy.
Na twarzy marmurowej gładkości o rysach niepospolicie
szlachetnych i
regularnych, malował się spokój, ciężkimi przejściami i
cierpieniami nabyty. W
dużych pięknych czarnych oczach odbijała się wytrwała wola,
lecz łagodna i
spokojna; w ustach po mistrzowsku narysowanych, pewna
doza hamowanej
zmysłowości, w ruchach i głosie było coś zdradzającego w
całym tego słowa
znaczeniu, wielkiego pana.

— Nie mamy czasu do stracenia! — zawołał Czerski,
odsuwając talerz a przysuwając
herbatę: — Opowiedz mi w krótkości hrabio, jak interes stoi.

— Zaraz — odrzekł tenże, a przybliżając do stołu fotel i
zapalając papierosa
sobie i mecenasowi, zaczął:

— Dwa lata temu odziedziczyłem po ojcu Międzybor w
znanych panu interesach. Był
wtedy ceniony na milion dwakroć sto tysięcy rubli, a długów
było na nim dziewięć
kroć. Od tego czasu nic się nie zmieniło, prócz okoliczności że
świeżo wyszłe

prawo gorzelniane, obniżyło znacznie wartość i dochody Międzybora, który liczy dwadzieścia gorzeln. Wierzyciele trwożni o swoje sumy, subhastowali majątek i Międzyborski klucz zostający lat czterysta w rodzinie, jest wystawiony na licytację. — Na kiedy termin sprzedaży naznaczony? — spytał zimno lecz z wyrazem współczucia Czerski.

— Od dziś za trzy miesiące — odpowiedział hrabia — zależy mi na tem, byś pan omówił wszystko z wierzycielami i moim zarządem, a może bystrzejszy sposób widzenia od mojego, znajdzie wyjście lub zwłokę. Kredytu nie mam, kapitałów nie mam, lasy zniszczone, zresztą na wszystko jestem gotów, byleby się utrzymać przy majątku.

— Pozwoli hrabia, że przejdę do pokoju który mi wyznaczysz, gdzie bądź łaskaw przysłać mi mapy majątku i swego plenipotentą, poczem obiorę drogę działania — odrzekł spokojnie Czerski wstając.

Hrabia zadzwonił; wręczył służącemu gotowe księgi i papiery leżące na stole i odprowadził do drzwi Czerskiego.

Sam usiadł przy biurze zawałonem listami, papierami i gazetami, i zabrał się do pisania.

Czerski kazał sobie podać obiad u siebie, nie wychodził ze swych pokoi od ósmej rano do dziesiątej w nocy.

Hrabia czekał w gorączce.

W zamku był ruch niezwykły sanek pocztowych i innych.

Wspaniałe niegdyś sale

balowe i recepcyjne napełnione były wchodzącymi i wychodzącymi żydami,

urzędnikami i t.p.

Około północy zaczęły się sale wypróżniać i tylko dźwięczały dzwonki

odjeżdżających, różnorodnych sani. Równocześnie wybiegł na schody plenipotent hrabiego, by obstałować natychmiast konie dla mecenasa, do najbliższej stacji pocztowej.

Po północy wszedł Czernski do pokoju hrabiego Augusta.

— Poznałem wszystkie interesa — mówił — nie są świetne.

Jeżeli Międzybórz pójdzie

dziś na licytację, nie tylko że hrabiemu nic nie zostanie, ale niektóre sumy

spadną. Pieniądze jakiegoż można wyciągnąć z majątku, nie mogą wchodzić w

rachubę. O sprzedaży części w tak krótkim terminie i w zimie, mowy niema.

Mendolsoln, który niedawno temu stracił pół miliona na dobrach Maciejowskich,

drogą licytacji sprzedanych, sparzony, bezwarunkowo nie chce wchodzić w układy.

Wysze prawo tak obniżyło pewne dochody Międzyborskie, że nie pokrywają

procentów. Zasiwy ozime niekompletne i spadłe ceny zbożowe, uniemożliwiają

interes, choćby niekorzystny, naprzód zawarty. Jeżeli hrabia w ciągu trzech

miesięcy znajdziesz sumę dwakroć stotysięcy rubli, ratunek jest możliwy, i wtedy

tylko Międzybórz mógłby się utrzymać — a własność jego, przy pańskiej pracy i

wytrwałości, nie byłaby tylko uciążliwym tytułem. Oto jest
moje zdanie, którego
hrabia żądałeś. Dodaję, iż nawet gdybyś się zdecydował na
sprzedaż Międzybora,
to na wiosnę chyba, nie dziś, bo to czyni ogromną różnicę.
Więc uzyskanie tych
pieniędzy jest rzeczą konieczną i decydującą o całym pańskim
majątku. To powiedziawszy, wypił duszkiem dwie filiżanek
herbaty i wyjechał, słynny pan
Czerski.

Hrabia przeszedł do sypialni, gdzie mu służący pomagał w
rozbieraniu.

Już miał odchodzić, gdy hrabia zawołał:

— A! dobrze że sobie przypomniałem. W galeryi obrazów
wisi na prawo od drzwi
obraz, wiesz, ten co go król darował memu dziadkowi;
zapakować go i wysłać pod
adresem pana Czerskiego.

— Słucham, panie hrabio — odrzekł sługa i wyszedł.

Nad ranem panowała cisza w zamku.* * *Rano hrabia obudził
się później niż zwykle; zerwał się, lecz wtem oczy jego
padły na listy i gazety leżące na stoliku przy łóżku.

Przejrzał je: jeden list rekomendowany, noszący na kopercie
monogram K.J.

zwrócił przedewszystkiem jego uwagę. Czytał więc:

"Kochany Auguście! Przybyłem dziś z Paryża do Warszawy,
gdzie zaraz przypadkiem
dowiedziałem się o wystawieniu na licytację Międzybora.

Rzecz nie jest wiadomą i
nie tak prędko będzie głośną.

Chciałem jechać prosto do ciebie, lecz w obec tego, wolę tutaj
czekać. W Paryżu są Milscy, którzy zjechali tam na całą zimę;
Celinę widziałem w teatrze

i półgłosem mi się spytała, czy nie przyjedziesz. Wiem z pewnego źródła, że stara Milska która jest bardzo źle, ne demanderait pas mieux, jak wydać córkę przed śmiercią za hrabiego i to Międzyborskiego. Nieznośny sknera Milski, będzie robił des fagom, ale on siedzi na Litwie, a ty możesz rzecz w Paryżu skończyć. Powiem ci więcej, że Milska miała pani Czyło w Paryżu bawiącej, otwarcie o tem powiedzieć, Celina jest śliczna: wszak prawdziwie nią byłeś w Kijowie zajęty. Nierozumiem cię i po przyjacielsku radzę zaraz faire tes paquets i przybyć do Warszawy, gdzie cię czekam i gdzie na wszystko zaradzimy Warszawa, g. w nocy, d. stycznia. Konstanty Jański." August list przeczytawszy, zamyślił się, co jednak krótko trwało, bo na odgłos dzwonka wszedł służący. — Sam się ubiorę! — zawołał hrabia — ty idź spakuj moje rzeczy. — Na długo pan hrabia wyjeżdża? — zapytał sługa. — Na dwa, trzy miesiące — odpowiedział zrywając się z łóżka — donieś o tem plenipotentowi, zamów rozstawne konie do Kijowa, bym się na pociąg nie spóźnił... No! idź! Dnia -go kwietnia tegoż roku, na jednej z głównych ulic Kijowa, wielki panował ruch przed kamienicą w której mieścił się sąd. Wejdźmy do tego mieszkania. W wielkiej sali za stołem nakrytym zielonem suknem, siedział dygnitarz w

mundurze na pierwszym miejscu. Na prawo i lewo zaś siedziały jakieś urzędowe figury, całe zajęte papierami przed nimi leżącymi. Znajdował się i Czernski.

W sali spacerowały tłumy mężczyzn do różnych klas należących, szwargotali Żydzi licznie także reprezentowani.

Na wszystkich twarzach malowało się gorączkowe usposobienie, a nawet zwykle spokojny Czernski był zarumieniony.

Na fotelu, naprzeciw dygnitarza, w pewnej odległości siedział jakiś pan, mały, otyły, stary, opierając tłuste ręce na gałce od laski. Zdawał się czekać i nie był porwanym ogólną gorączką, malującą się na wszystkich twarzach.

Figura jakaś, na którą nikt uwagi nie zwracał, stała przy mecenasie.

— Międzybór! milion rubli! kto da więcej? — wołał człowiek stojący przy fotelu urzędnika.

Zapanowało milczenie.

— Po raz drugi! — zawołał tenże.

— Milion sto! — wypowiedział spokojnie siedzący na fotelu staruszek. — Międzybór! milion sto! — wołał znowu przeciągłym głosem woźny.

Zapanował ruch i gwar. Niektórzy wychodzili ze sali, tłumy cisnęły się na obojętnie siedzącego na fotelu pana. Żydzi patrzyli na niego z ciekawością w oczach, im tylko właściwą.

— Międzybór! milion sto! — odezwał się znów donośny i przeciągły głos.

Zapanowało milczenie.

— Po... raz... drugi — wołał ten sam głos. Milczenie niczem nie przerwane tym razem nastąpiło.

Czerski wlepił oczy w siedzącego jegomościa.

— Po raz... drugi... — powtarzał głos.

Milczenie.

— Po... raz... drugi.

Milczenie.

— Międzybór! milion sto! po... raz...

Dygnitarz zadzwonił.

— Trzeci! — huknął woźny.

Straszny gwar zapanował w sali. Otaczano mecenasa, tłoczono się na nieznajomego, który fotelu nie opuszczał.

— Cicho! — zawołał jeden z siedzących przy stole.

Uciszyło się, z czego korzystając, mecenas zapytał:

— Kto kupił? — Ja panie dobrodzieju — odpowiedział, wstając tłusty jegomość, głosem w którymbyś darmo szukał akordu.

Mecenas mu się przyglądał.

Nieznajomy przybliżył się do stołu.

W sali nie było słyhać oddechu, takie zapanowało milczenie wywołane ciekawością.

— Na jakie imię i nazwisko będzie Międzybór zahypotekowany, raczy mi pan powiedzieć — pytał sędzia.

— Hrabina z Milskich Międzyborska — odrzekł nieznajomy swym płaskim głosem.

Czerski odetchnął, jakby mu się ulżyło.

— Nazwisko pańskie? — zapytał.

— Czesław Milski, panie dobrodzieju — odrzekł nieznajomy
— ojciec nowonabywczyni
— dodał.* * *W powyżej opisany sposób Kijów i kraj
dowiedział się, że hr. August Międzyborski
zaślubił pannę Milską, córkę litewskiego dorobkiewicza.
Konstanty Jański otrzymał litografowane pismo tej treści:
"Czesław i Marya z Kirgiłów Milscy donoszą Panu, iż ślub ich
córkę Celiny z hr.
Augustem na Międzyborzu Międzyborskim, synem hr.
Augusta i Eweliny z książąt
Kurskich, odbył się dnia -go marca b.r. w kościele OO.
Kapucynów w Paryżu." Jański klasnął w ręce.
W Kijowie, w dzień licytacji wieczorem o niczem więcej nie
mówiono.
W restauracjach, cukierniach, na ulicy, w teatrze, mogłeś
przysłuchując się,
zebrać całą historię zaślubionych.
— Ile posagu?
— Miliony!
— A Milski?
— Sknera, parweniusz, dorobkiewicz.
— A ona?
— Poczciwa, zahukana przez męża, nieszczęśliwa kobieta.
— Zkądże ten majątek?
— Ojciec starego Milskiego wygrał w karty podobno.
— Milski uciułał.
— Dziadek skarb znalazł i t.p.
— A panna?
— Śliczna i idealnej dobroci istota.* * *Dnia -go czerwca
tegoż roku zaślubiona młoda para była oczekiwaną w
Międzyborzu, który się świetnie przedstawiał.
Miasteczko uiluminowane. U bram miasta czekał
zgromadzony kahał z przemową u

podnóża góry, na której się wznosił zamek, włościanie z całego klucza z chlebem i solą.

A zamek, zamek o zwierciadlanych szybach w setkach okien, ze swemi wieżami na

których powiewały herbowe chorągwie, tarasami i kolumnami, cały uiluminowany,

robił wrażenie wspaniałe przepychu i pańskości.

Wewnątrz uwijała się służba. Marmurowe schody i posadzki ujrzały oddawna

oczekiwaną gąbkę, a wspaniałe sale i salony przypomniały sobie czasy, w których

oświetlane były dla różnych monarchów i wielkich tego świata, zatrzymujących się

tutaj w przejeździe.

Wieczorem dały się słyszeć wystrzały z moździerzy i wkrótce potem, czterokonny

otwarty powóz wjeżdżał wśród krzyku i huku, w bramy zamkowe.

W powozie, obok Augusta siedziała młoda kobieta, świeża brunetka o łagodnych,

aksamitnych niebieskich oczach, rysach regularnych, choć nie greckich.

Kapelusz trzymała w rękach; krucze jej włosy, spadające prawie w nieporządku na

jej twarz, dodawały jakiegoś uroku całej postaci.

Na białej twarzy, oczy otoczone ciemniejszą obwódką i koralowej czerwoności

usta, zwracały uwagę.

Wsparta na ramieniu Augusta, Celina idąc po marmurowych schodach, zapatrzyła się

na hebanowego murzyna, trzymającego złoty świecznik i poślizgnęła się. Hrabia się przestraszył.

— Ej! to nic — zawołała śmiejąc się Celina — nie jestem stworzona do tych wielkości.

August posmutniał: poślizgnięcie to uważał za złą wróżbę. Kolację podano w sali tak zwanej Stanisława Augusta, gdzie jego portret, delikatnego pędzla Bacciarellego dominował, i gdzie król w przejeździe do Kaniowa mieszkał.

Mało jedli, jak zwykle zakochani.

Po kolacyi August przez dwadzieścia salonów ubranych z największym, bo staroświeckim zbytkiem, w których nic nowego i bezmyślnego nie świeciło, przeprowadził Celinę do sypialnych pokoi.

Tutaj młoda kobieta z wyrazem smutku rzuciła się w jego objęcia.

— Wiesz — mówiła — teraz widzę iż są pewne charaktery, które ten zbytek przygnębia...

— To chwilowe — twierdził August.

— Zdaje mi się — mówiła cichym i mile brzmiącym głosem Celina — iż w skromniejszern otoczeniu, w mniejszych ramach, łatwiej jest być szczęśliwą.

— To zamknijmy połowę zamku, obierzmy jedno skrzydło na mieszkanie. Ja, jak wiesz, nie stoję...

— Ah! nie rozumiesz mnie, ja tylko z tobą myślą moją się dzieliłam; czuję się mała, jestem z natury cicha i skromna. Zginę w tych ogromnych i złoconych

ramach. — Czyż najbogatsze ramy są w stanie przygasić,
przyćmić choćby, głowy Rafaela
lub Greuza? — odrzekł z uśmiechem August.* *

*Przeskoczmy dwa lata i wejdźmy do zamku
Międzyborskiego, w rocznicę wspaniałego
wjazdu młodej pary.

Cisza!

W salonach słyhać tylko dyskretne kroki służby, ścierającej
nie zakurzone, bo
nie używane meble i dzieła sztuki.

W lewym skrzydle Celina z dzieciakiem na rękach, stoi w
oknie i pokazuje
chłopczykowi pędzący aleją powóz zaprzężony pocztowymi
końmi, z dzwonkiem, który
bawi dziecię.

Powóz wjeżdża w zamkową, bramę i znika między murami.
Celina dzwoni po chwilce:

— Kto przyjechał? — pyta wchodzącej służącej.

— Pan Jański — odpowiada — już jest u pana hrabiego.

Przejdźmy do pokoi, w których ostatni raz widzieliśmy
Czerskiego z hrabią, a
zastaniemy obu przyjaciół, żywą prowadzących rozmowę.
Jański był ogromnym mężczyzną, wysoki, mogący liczyć do
czterdziestu lat,
niesłychanie żywy w ruchach i wyrazie twarzy, z dużym
nosem i blond faworytami, orlim i dużym
nosem.

Nie był piękny, lecz nadzwyczaj sympatyczny.

— Więc wiesz, że dziś licytacja Międzybora i tu
najspokojniej siedzisz — wołał
Jański, wpatrując się w przyjaciela.

— Wiem i najspokojniej tu siedzę — odrzekł hrabia z
wyrazem smutnym, głosem

podrażnionym, który zdradzał walkę jaka się toczyła w jego duszy.

— Pozwól, ale ja nie rozumiem i nie poznaję ciebie.

Przedwczoraj przybyłem do

Kijowa: dowiaduję się o ewenemencie, biegnę do Ozerskiego któremu interes jest

oddany. Czerski pokazuje mi telegram twój w słowach: "nic nie mogę poradzić."

Zgłupiałem. Wszak Milski ma dwa miliony gotówki na bankach kijowskich. Racz mi

wytłomaczyć, zlituj się nademną, ! — wołał Jański, na którego twarzy malowała

się ciekawość i trwoga zarazem jej zaspokojenia.

— Uspokój się, a w krótkości ci wytłomaczę. Najprzód jednak muszę cię uprzedzić,

że żona moja o niczem nie wie.

— Nie wie, że dziś licytacja Międzybora?

— Nie wie — odpowiedział August — a teraz słuchaj.

Jański założył ręce na piersiach. August mówił.

— Miałem wziąć dwakroć pięćdziesiąt tysięcy w dzień ślubu.

— Wziąłeś naturalnie! — W tem się mylisz. Milski kupił Międzybór na licytacji i korzystając ze swego

kredytu, kupił go wydając z kieszeni sto tysięcy. Od tego czasu dodał jeszcze

siedmdziesiąt, podczas gdy dwa lata temu, Czerski bez dwukroć natychmiast

włożonych, nie widział wyjścia.

— "Więc niechże teraz doda, niech..."

— Tyś szalony! — zawołał August — nie wiesz, że Milski dawszy sto, o niczem

więcej słyszeć nie chciał. Nie wiesz, że każde tysiąc rubli wywalczałem ja lub

Celina na tym sknerze, kosztem najokropniejszych upokorzeń.
Świat nie wie, co
się kryje pod milionem posagu udręczeń i rzeczy okropnych,
nie wie co przechodzą
i cierpią ludzie mieszkający w królewskich pałacach.
Jański słuchał osowiały. August dalej ciągnął.
— I ty nie wiesz, że trzeba było całego mego spokoju,
nabytego trudnem życiem,
całej miłości jaką żywię dla Celiny, by nieraz sobie lub jemu
w łeb nie palnąć,
nie zerwać, nie rozwieść się z kobietą, którą więcej niż siebie i
Międzybór
kocham. Milski jest zakamieniały skąpiec, i rozłączenie się dla
niego z każdą
stówką, jest rzeczą która mu rozdziera serce, pruje
wnętrznosci. Wobec
pienędzy, drobnostką są u niego dzieci, szczęście, żona,
wszystko! Gdy przed
paru miesiącami potrzebowalem kilkunastu tysięcy, udała się
Celina do Woli.
Wypchnął ją stary, wołając przy ludziach i służbie: "czemuś
poszła za gołego
hra- biego," bo mnie teraz nazywa "gołym hrabią" i to
publicznie, mnie w oczy nawet,
a poprzednio nazywał "hrabia bankrut, " lub "reperowany
hrabia jego pieniędzmi"
i t.p. Wszystko to przyjmowałem z uśmiechem na ustach, bo
przy tych obelgach
obecnymi były: Milska, najpocziwsza kobieta, i Celina która
więcej na tem, niż
ja może cierpi.
Ty nie wiesz, co ja przez te dwa lata przeżyłem; nie wiesz, bo
na pozór wszystko

wygląda ładnie. Dla Celinki jadę wieszować imienin staremu,
który mnie ostatnim
razem przywitał słowami: "panie dobrodzieju, uszczęśliwiony,
panie dobrodzieju,
że widzę u siebie mego gołego hrabiego. "

August się szydersko uśmiechnął.

— Przesadzasz! — zawołał Jański.

— Łagodzę! — odrzekł żywo August — bo są rzeczy, których
delikatność nawet przed
tobą powtarzać mi nie pozwala.

— I teraz się nie udawałeś? nie...

— Nie, bo Celinie zagroził że ją wydziedziczy, jeśli mu
jeszcze raz o interesach

"gołego hrabiego" wspomni.

— Więc Międzybór?...

— Międzybór będzie dziś sprzedany, jeśli starego sumienie
nie ruszy.

— Rachujesz na to?

— Tonący rachuje na pływającą gałąź i do niej rękę wyciąga.

— Dziwny jesteś! — zawołał Jański. — Nie dziwny, tylko
zmęczony. Zmęczony do nieuwierzenia, ta złocony nędzą w
jakiej żyję. Świat mnie ma za milionera, zazdrości mi
wszystkiego od urodzenia,

a ja, ja szczęście mam w rękach, ale mi go używać niewolno.

Zobaczysz Celinę,

na której twarzy te dwa lata zostawiły ślady, a przecież winna
być szczęśliwą.

Kocha mnie i ja ja ubóstwiam, ale ani ja, ani ona, nie jesteśmy
szczęśliwi.

Nastąpiło milczenie, przerwał je August.

— Czy rozumiesz delikatność sytuacji? Ja cierpię na tem, że
Milski nie dotrzymał

słowa; ale Milski jest ojcem Celinki, ona na tem jeszcze
więcej cierpi. A
kochając mnie wyobraża sobie, że to miłość moją ostudzi; za
każdy mój kłopot,
moja przykrość, którą przed nią napróżno ukrywam, siebie
biedna istota obwinia.
I ty chciałeś, bym przed nią nie ukrył, że dziś, może już teraz,
nie jestem
właścicielem Międzybora...
Jański milczał.

— No! przejdźmy do Celinki, zapewne wie żeś przyjechał —
przerwał August. * * * Na drugi dzień rano, w wielkiej sali
jadalnej, czekała Celina z Jańskim na
Augusta który się spóźnił na śniadanie.

Stary służący hrabiego wszedł do sali z dziwnym,
niezrozumiałym wyrazem na
twarzy. — Co robi pan hrabia? — zapytała Celina,
podchodząc ku niemu.

— Pan hrabia... zwaryował — odpowiedział służący cicho,
tonem drżącym, podając
Celinie papier.

Celina i Jański nie zrozumieli, przeczuli tylko nieszczęście.
Kobieta porwała papier z rąk służącego. Był to telegram:
czytała:

"Międzybór, milion dwakroć, kupił Rosenthal z Berlina. Do
ostatniej chwili
czekałem.

Czerski. "

Celina z przeraźliwym krzykiem padła zemdlona w objęcia
stojącego za nią
Jańskiego.

— Gdzie pan? — zawołał Konstanty do stojącego służącego.

— Pan jakby zwaryował — powtórzył ogłupiały starzec.* *

*Tego samego dnia wieczorem, do poczwórnej karaty wprowadzono opór stawiającego

hrabiego Międzyborskiego. Za nim siadł Jański.

Do drugiego ekwipażu weszła zapłakana Celina, trzymając dziecko na ręku. — Do kolei! — zawołał siadając służący, i ruszyły konie z miejsca, wśród płaczu

zgromadzonej pod kolumnadą służby.* * *W Woli, głównej siedzibie zarządu różnych Wól i Wólek należących do pana Milskiego, panował monotony spokój, który jest główną cechą domów zostających

pod władzą ludzi, u których grosz zagłuszył wszystkie inne namiętności.

Pani Milska umierała, dogorywała od dni kilku w swoich pokojach na pierwszym piętrze; przy niej siedziała młodsza jej córka. Biednej kobiecie sprzedaż

Międzybora i choroba Augusta, zadały cios śmiertelny.

Mało to oddziaływało na Milskiego, którego widzimy zajęтым w kancelaryi

odcinaniem kuponów od listów zastawnych.

Na turkot który usłyszał w podwórzu, podbiegł do okna.

— A! nieszczęście! — zawołał, i wrócił do swego zatrudnienia.

Wkrótce zapukano do zamkniętych drzwi.

— Kto tam.

— To ja, panie — odpowiedział głos.

Stary zgarnął kupony i papiery do szuflady biórka i pobiegł otworzyć drzwi. — Kto przyjechał? — zapytał.

— Hrabstwo Międzyborscy.

— Więc goły hrabia wyzdrowiał; po cóż? a prawda! pani chora.

— Dwa telegramy wysłała panna Lina w ostatnich dniach —
odrzekł służący i
zarazem, jak to łatwo było spostrzedz z jego miny i ruchów,
powiernik pana.

— Dwa telegramy! — westchnął stary. — No! jakże tam —
ciągnął dalej — umieściłeś
ich w dalszych pokojach, a hrabia goły, zawsze wielki pan,
mina dobra?

— Ej! rzadsza proszę pana, coś zmizerniał i posmutniał.

— No! ale wyzdrowiał, wystarczy mu siły jeszcze, by
pochłonać parę kroć sto
tysięcy, co myślisz?

— Dlaczegooby nie — odrzekł sługa, zabierając się do
odejścia.

— No idź, bo będzie ruch. Nie głupim — mruzczał już sam do
siebie — kiep jestem,
jeśli co ze mnie wyduszą.

W trzy dni po tej rozmowie, nie było już w Woli tej, która
była duszą tych
murów.

Milski nie smutny, lecz podrażniony, nie opuszczał swej
kancelaryi, po której
toczył się z końca na koniec, mruzcąc coś pod nosem i
gestykulując od czasu do
czasu.

Hrabia siedział w ciemnych i ponurych pokojach pałacu
Wolskiego, bawiąc się z
swym małym synkiem. W apartamentach, Celina i Lina
młodsza jej siostra, przygnębione, krzątały się,
wydawały rozkazy, obejmowały ster zarządu domu po śmierci
matki.

List pismem Liny zaadresowany do Pani Czyto, wytłomaczy
nam sytuację, list

dopiero co napisany i leżący na dużym stole salonu.
"Kochana Ciotko! Donoszę Ci w krótkości o przykrych przejściach naszych tych ostatnich dni. Pogrzeb najdroższej naszej matki odbył się wczoraj. Celina z mężem przyjechali na czas, by jej zamknąć oczy. August prawie dobrze — choć już nie ten sam. Mama umierając wymogła na ojcu, iż jej dał słowo, że graniczący majątek Buczyn z Wola, odda Augustowi, który znów przyrzekł że mnie nie opuści. Biedna mama prawie bezprzytomna, użyła całej swej siły by nam zapewnić znośną przyszłość.

Celina z mężem pozostaną w Woli, dopóki w Buczynie August nie urządzi domu, który dopiero trzeba stawiać, bo go niema — jakoteż inne zabudowania będące w ruinie.

Skoro się przeniosą, ja przy nich będę; taka była była wola mamy, o której wypełnienie zaklinała ojca.

Pojmuje ciotka, jak Augusta przestrasza pobyt dłuższy w Woli i Celina truchleje, aby między nim a ojcem nie zaszło coś, coby mogło wpłynąć na zdrowie

Augusta. Śmierć mamy zrobiła na ojcu wrażenie; już drugi dzień się nie pokazuje. Więc napiszę wkrótce, dziś pod wrażeniem nieszczęścia myśli zebrać nie mogę.

Lina."

Śmierć żony jednak nie zrobiła na Milskim tak silnego wrażenia, bo w trzy

miesiące przyszło między nim a Augustem do sprzeczki, która mogła być zgubną dla chorego.

Milski, będąc zresztą zmuszonym wypełnić ostatnią wolę swej żony, która była współwłaścicielką majątku, oddał hrabiemu Buczyn; nic jednak na uporządkowanie, kilkudziesięcioletnią skąpą jego administracją zniszczonego majątku, dać nie chciał.

August, któremu duszno było w "Woli, śpieszył się z wyprawieniem, co powiększało kosztów wznoszonych i reparowanych budowli w Buczynie. Gotówka jaką uratował z Międzybora, wnet została pochłonięta, zostawały mu kosztowne pamiątki, dzieła sztuki z Międzyborskiego zamku. Z temi rozłączać się nie chciał, co gdy Celina ojcu przedstawiła, ten wybuchnął gniewem sobie właściwym, w którym a propos pamiątek, z błotem mieszał najdroższe i tradycyjne uczucia hrabiego.

Była chwila, w której myślano że choroba Augusta powróci. Szczęściem jednak, skończyło się na telegramie do antykwaryusza wiedeńskiego, słynnego Placha:

"Przyjeżdżaj pan, galeria niegdyś Międzyborska do sprzedania." Telegram ten hrabiemu nie mało kosztował, ale nie wywołał na usta jego słowa narzekania, lub wyrzutów, za co mu się Celina całą swoją nadziemską słodyczą, właściwą tej anielskiej istocie, wywdzięczała.

Hrabia rok przeżył w Woli.

W maju roku , czuł się zmęczonym. Siły jego moralne
cierpliwości i pokory,
zostały wyczerpane, a tu o przeniesieniu się do Buczyna, jak
za parę miesięcy,
mowy być nie mogło.

Widziała to Celina i pod pretekstem własnego zdrowia,
zostawiając zatrudnienia

Buczyńskie Jańskiemu, ułożyła projekt wyjechania z mężem i
Lina do wód

zagranicznych, z kądem już prosto do domu, do siebie, do
Buczyna mieli powrócić.* * *W pierwszych dniach września
tego samego roku, August znajdował się w pociągu
pędzącym ze Lwowa przez Wołoczyska, do gubernii
Wołyńskiej i dalej.

Jechał do Buczyna na Litwę, a obrócił drogę na Lwów, gdzie
go powoływały

interesa. Jański mu doniósł, że w Buczynie wszystko gotowe,
czeka pana. August

się cieszył, co malowało się na jego twarzy wypogodzonej i
zdrowszej.

Jechał sam, bo Celina z Liną obróciły drogę na Warszawę i
miały w parę dni po

przyjeździe Augusta, zjechać do Buczyna. Hrabiemu ta
kombinacją bardzo

odpowiadała, bo będąc o parę dni wcześniej w domu,
rachował że znajdzie się jeszcze coś w Buczynie do zrobienia
i

przygotowania, przed przyjazdem żony.

Odmłodził, bo jakby rozpoczynał życie na nowo. Nie miał
wprawdzie Międzybora,

ale czas wszystko pokrywa jakby mgłą zapomnienia; już miał
swój kąt w innej

części kraju, gdzie go nie będą ścigać przykre wspomnienia. A co najważniejsze może, czuł się niezależnym od Milskiego, od którego już prawdopodobnie nie będzie potrzebować.

Po kilku dniach podróży dojeżdża. Jeszcze tylko jedna stacja pocztowa go rozłącza.

Coraz jest niecierpliwszy, bo i ciekawy jak też Buczyn, jego jakby dzieło, wygląda.

Zieżdża powóz z pagórka, z kąd i Buczyn, pałacyk i zabudowania widać zwykle było.

Nie widać nic.

— Czyżby Jański miał co zmienić, czy zakryć, ale Jakimże sposobem?

Rozgląda się po okolicy. Nie zblądził, bo na prawo widać Wołę ze wszystkimi Wólkami.

— Popędzaj! — woła do pocztyliona.

Stary sługa, jego nierozłączny towarzysz, ogląda się na pana.

— Nie widać Buczyna, panie hrabio.

August stanął w powozie, rozgląda się, wychyla, nie widzi nic, tylko znane mu Buczyńskie drzewa.

— Stój! — woła do pocztyliona. Stanęli przed karczmą.

Wybiega żyd arendarz.

— To Buczyn? — pyta hrabia wskazując ręką.

— Buczyn, jasny panie — odpowiada żyd zdejmując czapkę.

— Ależ ztąd przecież widać... Żyd przerwał.

— Jasny pan nie wie, że Buczyn cały, wieś, budynki, pałac, pogorzały zeszłej

nocy; nie zostało... Żyd nie skończył, przeraził go straszny wyraz, jaki przybrała twarz hrabiego.

Stary sługa przypomniał sobie chwilę pamiętną, gdy lat temu dwa, w Międzyborzu jeszcze, wręczył panu telegram. Zeskoczył z kozia i uchwycił Augusta za rękę.

— Ej! to nic Walenty, dzieciństwo — mówił hrabia głosem strasznym swoją spokojnością — każ nawracać.

— Gdzie? — zapytał zastraszonego sługa.

— Gdzie? — odrzekł z wyrazem obłąkanym hrabia — gdzie... nazad chyba... na

Lwów... co myślisz?* * *W trzy dni potem o tym samym czasie, pośpieszny pociąg zatrzymał się w małej stacji kolejowej, o dwie mile odległej od Buczyna.

Pociąg szedł z Warszawy, a dążył do Wilna. Dwie kobiety z trzyletnim chłopczykiem wyskoczyły z wagonu; służący ugalonowany niósł za nimi ręczne podróżne torby.

Wyszły na podwórze.

— Niema powozu z Buczyna? — zapytała Celina służącego kolejowego, stojącego opodal.

— Niema i nie było — odrzekł tenże.

— To dziwne! — zawołała hrabina, odwracając się do siostry.

— Czyżby August nie był jeszcze w domu?

— Od trzech dni powinien być.

Jakiś mężczyzna wchodził do gmachu kolejowego; po stroju znać było że to urzędnik kolejowy. Ukłonił się damom. Celina przypomniała go sobie.

— Ah! przepraszam pana. ale przyjechałyśmy w tej chwili, jadę do Buczyna...

— Do Buczyna? — przerwał urzędnik.

— Do Buczyna, gdzie mąż mój już jest.

— Więc pani hrabina nie wie?...

— Co panie? — zawołała Celina, porywając rękę urzędnika — mów pan, co?

Urzędnik się zawahał.

— Mów pan, przeczuwam nieszczęście, ale chcę go znać.

— Buczyn zgorzał do szczytu w tych dniach. Celina zbladła jak alabaster.

— Dobrze panie, ale mój mąż?

— Pan hrabia — bełkotał urzędnik. — Pan wiesz, gdzie jest! czy wiesz? — wołała Celina.

— Nieszczęśliwy zbieg okoliczności: pan hrabia onegdaj jechał pocztą, o ile z opowiadania kursującego po okolicy wiem, nic nie wiedział o nieszczęściu i

dopiero od żyda w karczmie o milę od Buczyna został poinformowany. Kazał

natychmiast nawrócić. Pan Jański na drugi dzień się dowiedział, a czekał tutaj

po spaleniu Buczyna, myśląc że hrabia na Warszawę powróci. Wczoraj zawiadomiony,

wziął pocztę i pojechał za hrabią. Więcej nic nie wiem.

— Dziękuję panu — wybełkotała Celina.

Stała nieruchoma, opierając się na ramieniu Liny.

— Pani hrabina może wypocznie, może do Woli, zapewne... wystaram się o konie...

Celina milczała.

— Szklankę wody, jeżeli pan tak dobry — przemówiła po chwili.

Podano wodę.

— Straty materyalne... — chciał coś mówić urzędnik.

— Ah! panie, są żadne — przerwała hrabina.

Urzędnik milczał.

— Jeżeli pan tak dobry — jakby opamiętawszy się, zaczęła

Celina — to proszę mi

ułatwić dostanie koni pocztowych i to jaknajprędzej.

— A dokąd? — Dokąd? od stacyi do stacyi, za panem

Jańskim.

Urzędnik pobiegł.

— Lino! — mówiła hrabina — czy August to przeżyje?

W kilka chwil po tem już siedziały w powozie, który w

szalonym pędzie dążył w

stronę Wołoczysk. Na stacyach przepręgano tylko konie,

podczas czego hrabina

dowiadowała się, kiedy jej mąż, a kiedy Jański przejechali.

Dopytywała się ze śmieszną drobiazgowością, która obudzała

zdziwienie.

Na jednej z przedostatnich stacyi, po kilkodziennej

bezustannej podróży, Celina

dowiedziała się od pocztyliona, że tenże dwa dni temu wioził

Augusta ze służącym;

że August był chory, rozdrażniony, dziwny.

Bezprzytomna prawie stanęła w Wołoczyskach.

Tu spotkała Jańskiego.

— Gdzie August?

— Przedwczoraj rano pojechał do Lwowa. Ja tu jestem od

wczoraj; nie chcą mnie

puścić, bo nie mam paszportu, telegrafowałem.

— Czy wiesz pan, że chory? — zawołała Celina.

— Wiem — odrzekł Jański.

Na drugi dzień rano stanęły we Lwowie; zajęły do hotelu

Georga, gdzie zwykle

stawali, będąc w tem mieście.

— Stał tu hrabia Międzyborski? — zapytała portyera. — Stał — odrzekł tenże — przedwczoraj wieczorem wyjechał do Wiednia.

— Wyjechał do Wiednia, do Wiednia? — powtórzyła Celina, pytając.

— Do Wiednia z dwoma doktorami i służącym — odrzekł, jakby nic, zdziwiony. portyer.

— Z doktorami! — zawołała Celina i padła zemdlona na schodach hotelowych.

W godzinę potem, kobieta odchodząca od zmysłów, płaciła dwa tysiące reńskich na dworcu kolei żelaznej za nadzwyczajny pociąg do Wiednia, gdyż pośpieszny którym przyjechała, odszedł, a drugi za ośm godzin dopiero miał odejść.

Lina jej towarzyszyła z jednym służącym; synka zostawiła Jańskiemu.

Pociąg złożony z jednego wagonu i lokomotywy zatrzymał się dopiero w Krakowie,

po kilku godzinach szalonego ruchu, dla braku wody.

Celina wychyliła się z wagonu i skinęła na służącego kolejowego, by podszedł.

Zaczęła się go wypytywać o Augusta.

Kolejowy nie sobie nie przypominał.

Celina opisywała z drobiazgową dokładnością Augusta.

— Jechał taki — odrzekł kolejowy — ale to nie ten, o kogo pani pyta.

— Dlaczego?

— To był waryat, z którym nie mało mieliśmy kłopotu. Celina wydała głos przeraźliwy, bólu i rozpacz. Lokomotywa gwizdnęła i ruszyła.

O ósmej w wieczór zatrzymała się w Wiedniu.

Celina jak trup blada, bezsilna, zmęczona, machinalnie weszła do pierwszego fiakra.

— Gdzie? — zapytał woźnica.

Hrabina podała adres słynnego domu dla obłąkanych. Zajechali. Dzwoni nerwowo hrabina, wychodzi portyer i oznajmia, że po ósmej godzinie bezwarunkowo nikogo wpuścić nie może.

— Ale, czy jest tu August? — pytała Celina.

— Jest!

Wsiada nazad do powozu i każe się wieźć do ambasady rosyjskiej, gdzie jej nazwisko mogło wyrobić protekcję.

Uprzejmy ambasador przyjmuje od przytomności odchodzącą Celinę, dodaje jej do pomocy członka ambasady, z którym znów udaje się do domu obłąkanych.

Dziewiąta biła na zegarach miasta, gdy już nie portyer, lecz żona jego otworzyła żelazną bramę.

— Hrabia Międzyborski! — zawołała Celina.

— Tu niema hrabiów, tu są obłąkani i śpią o tej godzinie — odpowiedziała zła niemka.

— Racz pani poskramiać się w swych humorach — odrzekł towarzyszący biednym kobietom mężczyzna, odpychając odźwierną.

Echo dzwonka rozległo się po piętrach smutnego gmachu.

Wybiegł portyer, ukłonił się wchodzącym i uwiadomił, uderzając w różne guziki dzwonka telegraficznego, o nadzwyczajnej wizycie, przełożonych i doktorów zakładu.

Poczem poprosił by goście zaczekali chwilkę, otwierając drzwi sali nad którą stał napis: "Wartsalon."

Równocześnie prawie wbiegł do sali młody człowiek.

— Czego sobie panie życzą?

— Widzieć hr. Międzyborskiego — odrzekła Celina.

— Nie umiem pani odpowiedzieć, ale zaraz doniosę do bióra zawiadowczego, zkąd dowiem się numeru pokoju w którym hrabia został umieszczony.

Podbiegł w kąt sali, uderzył w dwa guziki; ciche echo dzwonka gdzieś na piętrach mu odpowiedziało, poczem wybiegł.

We drzwiach minął się z drugim.

— A co? — zapytał.

— Hrabia Międzyborski, wczoraj rano przybyły ze Lwowa, pod którym numerem? Czy można go widzieć? Uprzedzić przełożonego zakładu!

— Biegnę! Ów drugi zabierał się znów do wyjścia, gdy go zatrzymał członek ambasady.

— Panie, te formalności możnaby może skrócić, proszę tylko uprzedzić

przełożonego, pana Evani, że hrabia Tiven z damami, które dziś muszą widzieć hrabiego, czeka na niego.

— Pan dyrektor już uwiadomiony, zaraz tu pewnie będzie — odrzekł i wybiegł.

Wkrótce wszedł poważnie znakomity doktor, pan Evani.

Hrabia Tiven przedstawił go damom i prosiło pośpiech.

Pan Evani znów uderzył w guzik. Natychmiast pojawił się mężczyzna z księgą w ręku.

— Hrabia Międzyborski! — zapytał dyrektor. Nieznajomy członek zakładu otworzył księgę i czytał.

— Drugie piętro, Nr. , szósta rano, ze Lwowa, hr. Międzyborski, dnia -go września.

— Przyjęty przez? — zapytał dyrektor.

— Przez doktora Riedla.

— Poprosić pana Riedla.

— Ah! to męczarnie! — zawołała Celina, rzucając się na fotel. Z jakie dziesięć minut panowało niczem nie przerwane milczenie w sali. Wszedł doktor.

— Pan dyrektor żąda? — zapytał, nie zwracając uwagi na resztę osób znajdujących się w sali.

— Hrabia Międzyborski, numer -ty, drugie piętro, któregoś pan wczoraj przyjął?

— pytał dyrektor. — Chorego przyjęto wczoraj o szóstej rano, pomieszanie zmysłów wraz z furją — mówił spokojnie, jak lekcję, Riedel. — Dziś rano gorzej, oznaki rozmiękczenia mózgu. Zwołałem consilium, najgwałtowniejsze rozmiękczenie... przed pół godziną umarł.

— Umarł? — zapytał dyrektor, marszcząc brwi.

— Przed chwilą.

Spojrzeli na hrabinę, która nie wydawszy najmniejszego głosu, siedziała w fotelu z oczyma w słupek wlepionymi.

Lina łkając, rzuciła się na hrabiego Tiven.

— Pomocy panie! bo sama sobie nie poradzę — wołała odchodząc od zmysłów.* * *W końcu września tegoż roku, wśród licznego zgromadzenia ludzi z całego kraju, wpuszczono trumnę do grobu familijnego w Międzyborze. Kobieta zawoalowana, w żałobie, trzymając za rękę małego chłopczyka, stała nieruchoma nad grobowcem.* * *W roku umarł Milski, zostawiając miliony w ziemi i kapitałach swoim dwom córkom: Celinie i hrabinie Linie Tiven. Stary Czernski w Kijowie równocześnie prawie z wiadomością o śmierci Milskiego, która przestraszyła banki kijowskie, dostał telegram: "Kosztem jakiegokolwiek odstępnego, staraj się pan nabyć dla syna mego, Augusta, Międzybór. Celina hrabina Międzyborska."

TONI.

"Podejrzliwość wkrada się w serce kobiety. Gdy miłość je opanuje. "Taki to piękny taniec, ten polski mazur, nieprawdaż? — mówiła, siedząc na fotelu i przypatrując się defilującemu parom, młoda pani barowa Lebrun, do stojącego przy niej mężczyzny. — Rzeczywiście piękny, a w tej chwili się zastanawiam, czy my, Wiedeńczycy, potrafilibyśmy tańczyć równie malowniczo ten narodowy taniec — odparł pan Essenstein, biorąc próżne krzesło i siadając obok baronowej. — Niezaprzeczenie jest mazur czysto narodowym tańcem, lecz sądzę, że jeżeliby kolonia polska co rok dawała swoje polskie bale, to kto wie, czy czasem... — Myśli pani?"

— Myślę. Ale patrz pan, jak córka pana, którą wybrał jakiś Polak, patrz pan, jak tańczy. Zaledwie można poznać różnicę między jej sposobem tańczenia, a naprzykład pięknej Potockiej, która go od dzieciństwa tańczy.

— Vous êtes trop bonne!

— Ah! pańska córka ma tyle gracyi, tyle wdzięku...

— Baronowo!

— Nie mówię tu komplementu, ale to głos ogólny. Uważaj pan, jak z tym Polakiem tworzy dobraną parę, powiedziałbym, malowniczą; on przypomina rycerzy średnich wieków, ona ma w sobie coś tak kobiecego, a te włosy jasno blond, te oczy jak pochodnie, turkusowe, ta cera twarzy, figura! Do tego dodaj drobną dozę naszego wiedeńskiego szyku, doprawdy jest admirable! delicieuse! pańska Toni.

To wszystko mówiła baronowa z wdziękiem jej tylko właściwym, wachlarzem czyniąc różne ewolucyje, które zdradzały usposobienie żywe i gorączkowe.

Essenstein milczał, uśmiechem dziękował.

Baronowa uderzyła wachlarzem w rękę swego towarzysza, obróciła się twarzą do niego, trochę przysunęła i dalej ciągnęła tonem znacznie cichszym, prawie do ucha Essensteina.

— I powiedz mi pan, dlaczego nie wydajesz Toni za męża, wszak musi już mieć ze dwadzieścia cztery lat i czasby już był. Nie rozumiem tego, nie rozumiem jak

mogą młodzi ludzie pozwolić, by taka Toni, córka naszego Krezusa, Nababa... — Skompromitowanego, nie zapominaj pani — szepnął do ucha baronowej Essenstein.

— Co za myśl! — przerwała żywo baronowa — po naszym krachu, wszyscy bankierzy wiedeńscy byli skompromitowani. O tem zapomniał świat i Wiedeń, pan jeden jeszcze przypominasz.

— Pod tym względem moje położenie jest wyjątkowem.

— Żarty!

— W Wiednia...

— Czyż Toni koniecznie ma iść za Wiedeńczyka, Toni, która ma pół miliona posagu i piękność Diany, — szeptała baronowa ciągle ożywionym tonem.

— W Wiedniu - przerwał bankier.

— W Wiedniu! patrz pan, trzydzieści, co mówię, pięćdziesiąt par tańczy mazura.

Znasz pan tych panów Polaków, potomków najznakomitszych rodzin polskich. Wszyscy są przystojni, très-bien! a prawie każdy z nich byłby gotów podreparować swoje interesa finansowe kosztem małżeństwa, a cóż dopiero z Toni, z Toni!

— Moja córka chciałaby...

— Ah! rozumiem, te rzeczy się układają... Baronowa wstała. Bankier podniósł się także.

— Czy pani może zechce przejść do innego pokoju; tu gorąco, duszno, mazur się nie tak prędko skończy? — pytał bankier. — Podaj mi pan rękę i przeprowadź mnie do bufetu, tam dokończymy naszej rozmowy.

Przechodzili wśród tłoku; muzyka grała skoczego mazura; po sali napelnionej,
baronowa powiodła wejrzeniem uważnem.

— Jest arcyksiążę i książę Kodeński, mój dobry znajomy i książę Rohan i pani Mirheim. Nie wiedziałam, że już zdjęła żałobę: i miody hrabia Międzyborski i baron Iziński, a znasz pan może księcia Stanisława?

— Z widzenia.

— A syna jego, księcia Konstantego, charmant garçon? także zrujnowany, choć mówią, że ogromne dobra w Rosyi potrzebują tylko kapitałów.

Tak mówiąc i rozglądając się po salonach, w których czarne fraki mieszały się i podnosiły śliczne polskie stroje, mundury wojskowe różnych stopni i rodzajów broni, przechodziła baronowa do bufetu.

— Ale dokończmy naszej rozmowy — zawołała rzucając się na kanapę w kącie. —

Siadaj pan tutaj; tu chłodniej trochę, mamy jeszcze kilka minut, nim się mazur skończy, a skończy się o dwunastej. Która godzina?

— Dwunasta za dziesięć minut — odrzekł siadając bankier.

— A więc dziesięć minut; powtarzam panu, że to wszystko się układa. Małżeństwo to interes, ale l'amour s'y mêle czasem...

— Zapewne. — Gdyby Toni była moją...

— To?

— Ah! szalenieby się w niej już dziś kochał książę Konstanty.

— Książę Mireski? — zapytał poważnie, cicho bankier, a oczy jego z pod okularów zabłyszczały i uchwycił wachlarz igrający baronowej.

— On sam! — zaśmiała się baronowa — a chcesz pan... no!...
decyduj się, mazur
się kończy...

— Baronowo...

— No prędko! — wołała kobieta uderzając wachlarzem po
ręku Essensteina — na balu
i to polskim rzecz zaintonuje, jednym słowem, urzędę.

— Pani! — bełkotał bankier.

— No! — zawołała, wstając baronowa. Bankier wstał i cicho
zapytał pani Lebrun:

— Mówi pani seryo?

— Zupełnie seryo! — zaśmiała się baronowa. — Mazur się
skończył, idź pan do

Toni; odszukam pana w sali.

Bankier się kłaniał.

Baronowa wachlarzem skinęła na służącego, który podbiegł.

— Znasz księcia Mireskiego? — zapytała.

— Znam.

— To powiedz staremu księciu, że baronowa Lebrun go
szuka. — A znów obracając

się do bankiera: — A pan podczas kotylicy odszukaj mnie,
nous causerons.

Tańczący po skończonym mazurze wpadli do bufetu; zrobił
się hałas i gwar balowy.* * *W kilka dni po balu polskim,
Essenstein około godziny pierwszej po południu
opuścił swoje biuro w pałacu leżącym na Operring i udał się
po marmurowych
schodach na pierwsze piętro.

Lokaj widocznie czekał, bo jeszcze bankier był na schodach,
gdy uchylał drzwi,

— Czy był kto? — zapytał pan.

— Nie było nikogo; przyniesiono tylko kilka listów, które leżą
na biurku —

odrzekł służący.

Essenstein był wysoki, zdrowy i poważny. Ogromne blond faworyty starannie utrzymane, w których znajdowały się siwe włosy, duża łysina, okulary złote, za którymi błyszcząły siwe, małe, sprytne, lecz już bezwyraziste oczy — były cechami wybitniejszymi tej twarzy, na której niezaprzeczenie malowała się inteligencja i przenikliwość, lecz ta właśnie maskowała inne odcienia charakteru.

Wszedłszy do swego salonu, przejrzał leżące na biurku listy, odłożył je na bok, jeden tylko z ogromnym podłużnym monogramem, uperfumowany, a więc kobiecy, zwrócił jego uwagę. Rozerwał kopertę i czytał. Był to raczej bilet niż list, tej treści. "Dziś będzie u pana stary książę Mireski, pod pozorem proszenia o protekcję w uzyskaniu pożyczki w Nationalbanku. Sposobność śliczna; dziś w operze mam lożę numer siódmy, obok waszej. Toni czy będzie?"

Tout à Vous

Br. Lebrun. Essenstein stał przy biurku i wpatrywał się w pismo, odczytywał bilet po kilkakroć, poczem spokojnie i z nieopuszczającą go nigdy powagą zapalił zapalną, do której przybliżył bilecik, a ten wnet zamienił się w odrobinę leżącą niepostrzeżenie na palmach dywanu.

— Hm! hm. — westchnął bankier.

Dał się słyszeć elektryczny dzwonek i zaraz pojawił się ugalowany, w kamaszach

białych lokaj, niosąc na srebrnej tacy bilet, który bankier
uchwycił. Stanisław Książę na Mireczu Mireski

Kawaler Maltański

Kawaler orderów I-ej klasy św. Grzegorza, Orła Białego,
św. Stanisława, Żelaznej korony i wielu innych— Prosić, —
wymówił pompatyczne.

Ze swobodą właściwą ludziom obracającym się na scenie
wielkiego świata, wszedł
książę.

Niski, trochę otyły, siwy, bez żadnego zarostu, z jednym
szkiełkiem w oku, które
co chwila zrzucał. Na twarzy wypiętnowało się życie wesołe i
dowcip w uśmiechu grubych warg, które
już w wiekowym człowieku zdradzały zmysłowość.

Bankiera zażenowała swoboda księcia, lecz wnet ochłonął, by
przysunąć fotel.

— Przypominasz pan mnie sobie w roku , gdyś pływał w
falach wzburzonego morza,
jakim był krach wiedeński, z któregoś szczęśliwie wypłynął.

— Ah! — zawołał bankier.

— Więc pan... — przerwał książę.

— Ah! — ciągnął bankier — doskonale pamiętam, i nie
podziękowałem jeszcze
księciu, za...

— Mniejsza o to, nie mogłeś pan, gdyż na drugi dzień
opuściłem Wiedeń, ale dziś
chętnie przyjmuję pańskie podziękowanie, i nawet będę żądał
małej przysługi..

— Zrobiona! — przerwał Essenstein.

— Więc o niej potem — mówił ze swobodą książę. Zdaje mi
się, że na polskim balu
onegdaj syn mój poznał pańską córkę i żonę...

— Mówiła mi Toni...

— Ah! doprawdy, panna Toni, czy tak? śliczna panna, powinszować ojcu. Szczęście oknami i drzwiami wchodzi do pańskiego domu. Jak skała opierasz się tym wiedeńskim krachom, a w domu rosną kwiaty...

— Książę rzeczywiście...

— Pańska córka była królową polskiego balu, c'est assez dire.

— Trop dire! książę... — Jako ojcu, wypada być panu skromnym — przerwał książę, by z nadzwyczajną lekkością rozmowy światowca, przejść na inny temat.

— Interesa moje oddałem memu synowi, którego chciałbym panu przedstawić w

nadziei, iż go nieraz obdarzysz radą lub pomocą, o którą w obcym mieście jest

trudno. Mnie już to wszystko zmęczyło. Nawet mówić o tem nie lubię i bardzo będę

panu wdzięczny, jeżeli przez mego syna pozwolisz sobie przedstawić interes, jaki

zawieramy z Nationalbankiem i w którym chcielibyśmy pańskiej pomocy i protekcji.

— Będę uszczęśliwiony — bełkotał bankier, któremu książę niepozwalał przyjść do słowa.

— Więc kiedyż jesteś pan swobodnym? bo ludzie tak jak pan zajęci, mają policzone minuty; te minuty są u nich kapitałem.

— Książę...

— Kiedy pan porzucasz myśli o swoich rozlicznych interesach, kiedy pana umysł

jest swobodny, a osoba jego wolna od natrętnych, jak ja, na przykład?

— Książę...

— Więc kiedy mogę przyjść do pana z mym synem?

Bankier się zamyślił z miną skruszoną; zacierając ręce, ze spuszczonei oczyma siedział naprzeciw księcia.

— Jeśliby to księcia nie deranżowało — przemówił nieśmiało, to podnosząc, to spuszczać oczy i powoli zacierając ręce — to możeby... — Kiedy pan tylko wyznaczysz.

— To możeby raczył wieczorem...

— I owszem.

— W wieczór jestem...

— Wieczorem ma się najswobodniejszy umysł — przerwał książę, widząc że bankierowi nie idzie.

— W wieczór więc jesteśmy sami i przyjmujemy codzien, przy filiżance herbaty.

— Więc pan mi zrobisz honor przedstawienia mnie pani — zawołał najnaturalniej książę.

— Książę mi zrobisz zaszczyt — kończył bankier — wypicia filiżanki herbaty...

będę najszczęśliwszy.

— C'est dit — zawołał wstając książę — dziś, albo jutro.

— Codzień!

— Dziś albo jutro z synem moim zapukam do drzwi pańskich, a teraz do widzenia.

Książę podał Essensteinowi rękę, którą ten delikatnie uścisnął i chciał

odprowadzać do drzwi gościa.

— Nie fatyguj się pan, bardzo proszę — zawołał wychodząc książę — do miłego

widzenia, bon jour! au revoir! i wybiegł pełen jeszcze życia, choć już dobrze w

latach ks. Mireski, kawaler tylu orderów.

Essenstein oszołomiony, ogłuszony, upadł na fotel i pograżył się w zadumie. Na wiosnę tegoż roku wspaniałe robił wrażenie pałac Essensteina około godziny dziesiątej wieczorem.

Frontem wyglądający na szeroki plac zawsze pełen ruchu, rzesistem różowem

światłem bijącym z kilkudziesięciu okien książęcych apartamentów bankiera,

oświetlał przechodniów na całym Opernringu.

Przed pałacem ruch i gwar. Ciekawe tłumy grupowały się i rozmawiały. Zagładano w

wspaniałą, elektrycznym światłem oświetloną sień, po której przechadzał się

błyszczący od złota szwajcar.

Co chwila turkot powozu wjeżdżającego w bramę,

przygłuszało ufreskowane sklepienie.

Wtedy ciekawi tłoczyli się do bramy, by widzieć zawsze jedno.

Ugalonowanego lokaja zeskakującego z kozła, którego zawsze uprzedził szwajcar,

by otworzyć drzwiczki karety. Z tej wylatywała postać kobiety w jedwabiach i

aksamitach z brylantami, walczącemi z lampami o lepsze. A za nią postać czarna

mężczyzny, różnobarwna oficera od ułanów lub huzarów.

Bankier miał rozliczne stosunki.

Były to zaręczyny panny Toni z księciem Konstantym Mireskim.

Wielka dla bankiera uroczystość, zrealizowanie jego wielkich i świetnych marzeń,

na których pogrzebanie byłby się już zgodził. Wielka uroczystość, która go

godziła z nie jednym, nie jedno mu zarzucającym;
uroczystość, wołająca głośno po
ogromnej stolicy Habsburgów: "Chcieliście Wiedeńczycy
zgnieść, zgnębić Essensteina; patrzcie jak
tryumfuje. "

Z ostatnią, wjeżdżającą kareta w bramę pałacu, przenieśmy się
na pierwsze piętro

i przebiegnijmy świetne apartamenta bankiera.

Dziesięć salonów oświetlonych, świeżych, modnych,
ubranych tem wszystkim, co

zbytek europejski i gust milionera w XIX-m wieku wymyślił,
napępniało wiedeńskie

towarzystwo lub wielka część jego.

Nie wyliczyłbyś nazwisk i tytułów rodowych i osobistych,
które się znalazły w

salonach Essensteina. Tom spory utworzyłaby lista
zaproszonych..

Gwar światowy napępniał ogromne salony; w dwóch tańczono,
w innych odpoczywano,

rozmawiano. W powietrzu unosiły się delikatne wonie.

W małym niebieskim saloniku ubranym z gustem, stał na
środku stół ogromny o

złożonych nogach, na którym leżały stosy kart wizytowych,
listów i telegramów.

Były to dnia tego nadeszłe życzenia.

Lokaj co chwila przynosił do tego zbioru nowy papier, zmięty
zapewne gorączkowe

ręką księcia lub Toni.

W pokoju obok, przez całą jego długość, stał stół,

a na stole leżały przepyszne rzeczy, dzieła sztuki, albumy,
puzdra otwarte, w

których migotały brylanty i szafiry, perły i szmaragdy, leżały
koronki misterne,

szkatułki i srebra. Była to wystawa prezentów panny Toni z okazji zaręczyn, wystawa książęca i bankierska. Około północy panował ruch i gwar, nieprzerywany już niczem, bo towarzystwo było w komplecie, ceremonia zaręczyn się odbyła i wolne pole otwarto uwagom, rozmowom, intrygom i drwinkom. Essenstein wspaniały, chodził pompatycznie, to głaszcząc ogromne faworyty, to znów zacierając ręce. Zdawał się tak przejętym, że zaledwie odpowiadał na uśmiechy, życzenia i zapytania. Spacerował po salonach, kłaniał się, a każdy kto go bliżej znał, widział w tej marmurowej powadze szczyt zadowolenia i radości, która całe życie, więc i dzisiaj doskonale maskował. Dla nieznanego miał minę człowieka poważnego, dla znajomego minę, jaką się miewa w dniu najświetniejszym, koronującym choćby kilkudziesięcioletnie powodzenie. Kobieta w aksamitnej szafirowej sukni, lat pięćdziesięciu, otyła, lecz dobrze się trzymająca, przybliżyła się do bankiera. Była to jego żona. Na twarzy jej pozostały ślady, pozwalające się domyślać minionej piękności. W wyrazie miała coś dobrego i szlachetnego, ale i coś pełnego ukrywanej pogardy, malującej się w miarę zbliżenia się do męża. — Powiedz mi — zapytała cicho — jakim sposobem znajduje się tutaj baronowa Lebrun?

— Prawdopodobnie... zaproszona.

— Czyś ty ją podał, bo na liście nie była — odparła spokojnie kobieta. — Ja. Cóż, dlaczego?

— Ta kobieta, którą, coraz umiej przyjmują, której prawie nie znam, której

obecność u mnie, widzę że dziwi nie jednego.

— Dzieciństwo, zdaje mi się nawet, że z nią jest bardzo dobrze stary ksiązę —

tłumaczył cicho i niewyraźnie bankier.

— Być może — odparła pani — u niej w domu, nie rozumiem, jak mogłeś mnie narażać...

— Moja kochana, później.

— Wiesz co o niej kursuje?

— Bajki.

— Wiesz co parę miesięcy temu jeszcze mówiono, gdy nieświadoma, pozwoliłam Toni być u niej w łoży.

— Przepadło, jutro mi o tem będziesz opowiadać — odparł już głośniej i trochę

szorstko bankier — ale patrz! patrz! w żółtym salonie, patrz jak stary ksiązę z

nią rozmawia; są jak najlepiej, widzisz... O! pani Mirheim cię szuka.

Z sali balowej wysunęła się para i dożyła ku niebieskiemu salonikowi.

Młodzieniec średniego wzrostu, blondyn, lat dwudziestu czterech, że tak powiem,

o dziarskich i szlachetnych rysach twarzy, która przypominając rzymskie posągi,

przypominała portrety polskich młodzieńców z szesnastego wieku; z gęstym wąsem

lekko w górę zakręconym, głową krótko ostrzyżoną,
prowadził lekką postać
blondynki różowej o ciemnych niebieskich oczach, czule na
jego ramieniu się opierającej.

— Niema co mówić, piękna para narzeczonych — szeptali,
ustępując się goście.

Toni była rozpromieniona, choć w oczach łagodnych malował
się melancholiczny,

jakby miłością kołysany spokój. Na twarzy jej znać szczęście,
lecz to szczęście

nie kompletne, potrzebujące zapewnienia; które się samo
siebie pytało, czy jest

zupełnem i niepewną dostawało odpowiedź.

Gdyś z twarzy Toni oczy skierował na księcia Konstantego,
znikało to przykre,

choć urocze wrażenie, jakie czyniło oblicze dziewczyny. Ta
otwartość, dziarskość

fizyognomii, pewność siebie, to śmiałe i odważne spojrzenie,
równoważyły tę

chmurkę, która przyćmiewała blask oczów Toni.

Cicho rozmawiali, musieli być wzajemnie zakochani; tak
misternie nie gra się

komedyi.

— Toni! — zawołała, przybliżając się matka — muszę cię
przedstawić ministrowej,

która dopiero co przybyła.

Toni cudownem wejrzeniem wynagradzając narzeczonego,
opuściła jego ramię i

poszła do innych salonów za matką.

Równocześnie Jański uchwycił dopiero co opuszczone ramię
księcia.

— Jakże jestem kontent, nie uwierzysz — szeptał, nachylając
się do ucha księcia

— robisz mi wrażenie prawdziwie szczęśliwego. — I jestem nim — odparł cicho książę.

— Jakże to dobrze i szczęśliwie, zasługujesz na szczęście w życiu, a wiesz jak go dla ciebie pragnę.

Konstanty uchwycił rękę Jańskiego i serdecznie nią wstrząsając, szepnął:

— Dziękuję ci, mam dobre przeczucia i wierzę, że mi dobrze życzysz.

Wolno szli dalej.

— A pomyśl tylko — mówił cicho książę — jak mało z osób napelniających te salony podziela twój sposób widzenia. Może nawet jesteś sam jeden.

Ogół, nawet moi

przyjaciele, którzy mnie mniej od ciebie znają, uważają małżeństwo moje za

interes, są przekonani może, że się sprzedał.

Jański chciał przerwać.

— Nie przecz! bo tak jest, choć dość spojrzeć na Toni, nieprawdaż? by zmienić

przekonanie. Jaka pełna wdzięku niepospolitego, nieprawdaż? ale patrz! Jański!

Widzisz w czwartym salonie mego ojca w ożywionej

rozmowie z tą Lebrun? Mam

wstręt do tej baby, przeczuwam awanturnicę lub intrygantkę, ojciec znajduje ją

pełną różnych zalet. Nie znasz jej przypadkiem?

— W Paryżu widziałem ją otoczoną w swoim czasie, choć w Saint Germain nigdy jej nie spotkałem.

— Muszę cię pożegnać — zawołał książę, wysuwając swą rękę z pod ramienia

Jańskiego — Toni mi daje znak.

..... Książę Mireski
z baronową, żywą prowadzili rozmowę w pałacowym salonie, w
którym
zaledwie kilka było osób, bo w sali balowej tańczono, a wielu
się przypatrywało.

— Jesteśmy prawie sami — mówiła głosem swym
dźwięcznym baronowa, ruszając tak
silnie wachlarzem, że tenże poruszał niezliczone małe orderki i
wstążki
zakrywające piersi starego księcia. — Jesteśmy tak sami, że
teraz książę możesz
mi wręczyć, co między nami już oddawna, czy nie tak? jest
fixé.

— Baronowo! ale teraz... mógłby kto zobaczyć.

— Les hons comptes font les bons amis.

— Uważaj pani, że choć prawie jesteśmy sami, na nas nie
jedna para oczu
zwrócona.

— Nic nie szkodzi, cher prince, w kącie widzisz książę, na
tym postumencie ten
śliczny wazon, z którego wychodzą węże, a każdy w pyszczku
trzyma świecę? vous
voyez prince, ile tych węży! oh! ile! que c'est beau — mówiła
baronowa, dążąc ku
kandelabrowi, a za nią się posuwał książę z miną, którą rzadko
u niego
sposstrzegamy.

Baronowa się obejrzała, wachlarz lewą roztoczyła ręką, a
prawą otwartą,
nieznacznie wyciągnęła do księcia.

— Prince? obietnica?

— A gdybym nie dotrzymał?

Oczy baronowej zabłyszczały strasznie. Książę obrócił się, a zapewniony, że nikogo już niema w saloniku, sięgnął do kieszeni z której wydobyl mały zwój papieru wydajacego szelest podobny do tego, jaki wydaja nowe banknoty lub wartosciowe papiery i wsunal w reke baronowej. Reka ta na sekunde zniknela w kieszeni atlasowej sukni i juz trzymala wachlarz poruszajacy orderami ksiecia.

— Tu jest wszystko — dodal ksiazę tonem suchym, z usmiechem pelnym pogardliwej galanteryi.

— Dziś sprawdzę — odparla baronowa, odsuwajac się od kandelabru.

— Allez! ma brue me coute cher — zasmiat się, szeptajac ksiazę.

— Farceur! — skrzywila się baronowa, a byli juz w przyległym zapełnionym salonie, bo z sali balowej i innych salonów przechodzono do jadalnych pokoi.

Okolo szostej rano puste juz byly salony Essen steinowskiego palacu.

W jednym z pierwszych od wejścia Konstanty zegnal się z Toni; reke jej chwilke trzymal w swojej, wpatrujac się w twarz narzeczonej, pelna miłości.

Biala rączke przycisnal do ust.

— Dobranoc Toni! — szepnal cicho.

— Dobranoc! niechze jutro dlugo nie czeka — mowila glósem, którego dzwięk trudno opisać.

W drzwiach salonu pojawil się pan Essenstein. Ksiazę jeszcze raz przycisnal do

ust rękę. Toni, ona go jeszcze do drzwi odprowadziła.

— Do jutra!

— Do jutra. Gdy się Toni obróciła, znalazła się naprzeciw matki.

— Kochasz go? — zapytała.

— Ach! kochana mammo! — zawołała Toni, rzucając się w macierzyńskie objęcia —

ale, czy on mnie kocha?

— Zdaje mi się.

— Ah! gdybym była biedną, bardzo biedną — zawołała Toni, podnosząc do nieba oczy

— jakżebym ja była szczęśliwą.

— Dziecko! — zawołała w pocałunku matka. * * * W rok potem, księżna Toni chodziła po małym saloniku swego apartamentu w pałacu, raczej zamku, wybudowanym w końcu XVIII wieku i dominującym nad Mireskim kluczem.

Jak mała chmurka zaćmiewa nieraz horyzont czysty nieba, tak w oczach Toni,

poznawałeś ten wyraz niepewności, który gasił blask nie oczu już, lecz całej tej

pięknej twarzy. Było to słońce migające z po za małej, pędzonej przez wiatr chmurki.

Toni czekała męża, którego w zamku nie było, a który powinien był już być z powrotem.

Co chwila przysuwała się do okna, czoło przykładając do szyby i wzrok zapuszczała

w przestrzeń równiny wołyńskiej. Zdało się jej, że słyszy dzwonek, podniosła się na palcach, by lepiej widzieć długą lipową aleję, którą do zamku

wjeżdżano.

Zdawało się jej.

Nie jechał nikt.

Minuta wydawała się jej godziną, a czekała już godzin kilka, pierwszych od dnia swego ślubu, więc tem dłuższych.

Kozak uchylił drzwi.

Obróciła się Toni.

— Co to!

— Poczta! księżno pani.

Toni rzuciła się ku pakietowi; poczta na Wołyniu to rozrywka, a dla Toni zawsze radość. Poczta przychodziły jej wiadomości z kochanego Wiednia, pocztą przychodziło paryskie "Figaro" ulubiony jej dziennik, w którym znajdowała często różne wiadomości i szczegóły z zawsze ją interesującego wiedeńskiego bruku.

Listów nie było, lecz kilka numerów "Figara" i innych gazet polskich, dla Toni nieznającej języka, pozbawionych wszelkiego interesu.

Rzuciła się na fotel stojący przy oknie obok dużego stołu i porwała pierwszy lepszy numer "Figara."

— Czytanie skróci mi chwile oczekiwania — pomyślała i niby z uwagą zabrała się

do przeglądania dziennika. Wiadomości polityczne żadne, późniejsze musiał mieć

Konstanty, fejleton interesujący, lecz ten razem z mężem głośno czytała. Oczami

biegała po szpaltach zatytułowanych: "Echa zagraniczne." —

Nic ciekawego — szepnęła, i uchwyciła drugi numer, z którym podobnie

postąpiwszy, chciała go już zwinąć, gdy ją uderzył, artykuł
zatytułowany "Proces
Lebrun.

Jak iskra elektryczna przeleciała jej przez głowę baronowa, ta
kobieta którą,
znała w Wiedniu, której matka nie lubiła, o której nie raz dużo
słyszała, a
więcej się domyślać miała.

— Może to jej krewny, mąż, brat? — pomyślała — trzeba
przeczytać.

Czytała:

Proces Lebrun.

"Podajemy tu w streszczeniu — pisało "Figaro" — recenzję z
kilku ostatnich
dzienników wiedeńskich, które się niczem więcej, tylko
sławną baronową Lebrun
zajmują. "

Toni połykała odtąd litery i słowa.

Piękna dama od lat kilku uwijała się po całej Europie,
mieszkając naprzemian w

Paryżu, Londynie, Brukselli, Petersburgu i Rzymie. Wszędzie
była otoczona pewną

częścią dobrego towarzystwa, wszędzie żyła na wielką skalę,
lecz wszędzie

obudzała podejrzenie. Wyjechawszy osiadła w Wiedniu i oto
przed paru dniami,

oskarżona o różne oszustwa i infamie, została uwięzioną.

Uwięzienie baronowej

zrobiło popłoch w Wiedniu, gdzie ją widywano w pierwszych
salonach, a

szczególniej w świecie finansowym. Rozchodziły się
pogłoski, że śledztwo może skompromitować niejedną,
rodzinę i niejedno nazwisko. "

Toni jak róża poczerwieniała, czytała bez wytchnienia, oczami
biegała po
szpaltach dziennika.

"Pogłoska nie była płonna. Zrobiona w apartamencie
baronowej rewizya, oddała
sądowi listy i papiery pani Lebrum, które rozjaśniły całe życie
tej arcymodnej i
genialnej awanturnicy, lecz ogłaszane w dziennikach, czytane
głośno w sądach,
kompromitują nie jedną rodzinę. Między temi listami
"Fremdenblatt" ogłasza pismo
kompromitujące polskiego magnata tej treści: "Niżej
podpisany, obowiązuje się w
dzień zaślubin syna mego Konstantego z panną, z którą dnia
dzisiejszego został
zareczony, wypłacić na rzecz pani br. Luizy Lebrun, sumę
dwudziestu i pięciu
tysięcy florenów. Podpisano, Wiedeń dnia kwietnia r.
Stanisław książę
Mireski."

Dalej Toni nie czytała, bo gazeta zsunęła się na kolana,
niebieskie oczy zaszczyły
mgłą, powieki się przymknęły, ręce opadły.

Toni zemdląła.* * *Na drugi dzień rano Toni, która całą noc
nie spała, nie rozbierała się, czerwona
od płaczu, bezprzytomna od bólu, usłyszała kroki w dalszych
salonach. Kroki
księcia, męża, który w nocy przyjechał. Rzuciła się na stół, na
którym leżały dzienniki, jakby chcąc przyjąć obronną
pozycję, w rękach miała wszystkie numera nieszczęsnego
Figara.

Drzwi się uchyliły; książę w nich stanął z uśmiechem, który
zamarł na twarzy,

gdy zobaczył przed sobą postać kobiety o strasznym wyrazie.

— Nie wchodź — zawołała, prostując się, marszcząc swoje
piękne brwi po raz

pierwszy — nie wchodź!

— Toni! — zawołał osłupiały książę.

— Jesteś... ostatnim... z ostatnich... jesteś łotrem! — wołała
odchodząc od

przytomości kobieta, tonem, w którym dźwięczał straszny ból,
straszna złość w

bezsilnej i łagodnej istocie.

— Toni! — powarzał książę.

Ona mu w twarz rzuciła numerami "Figara" które padły u nóg
jego.

— Przeczytaj! — zawołała i padła na fotel szlochając,
wycieńczona tą sceną,

Książę zrozumiał, że coś niezwykłego zaszło, coś, na coby nie
pomogły prośby i

pytania; pozbierał gazety leżące na ziemi i pobiegł do swych
pokoi.

Toni szlochała godzinę, łzy jakby niewyczerpane płynęły i
przynosiły ulgę tej

strasznem cierpieniem, zmęczonej duszy.

Płakała prawie bezwiednie, bo w głowie się jej mąciło i myśli
jakie po niej

przebiegały, były mdłe, niewyraźne, przelatywały bez
związku, choć się w kółko

kręciły.

Toni płakała. Wystrzał rozległ się w zamku, gdzieś bardzo
blisko, bo zadrzały okna, zatrzęsły

się brązowe kandelabry stojące na konsoli w pokoju Toni.

Zerwała się kobieta, jakby ze snu, chustkę upuściła, oczy
zaschły w jednej

chwili. Stała nieruchoma, jakby dalej słuchając.

Cisza.

Toni wydała przeraźliwy krzyk bóleści i rzuciła się ku drzwiom prowadzącym do pokoju męża.

Straszny obraz przedstawił się w gabinecie księcia.

Przy biurku leżał Konstanty w własnej krwi zboczony, obok niego rewolwer.

Służba już go podnosiła.

— Jeszcze żyje! — zawołał stary sługa.

Księżna padła przy ciele męża.

Na biurku leżał otwarty numer Figara, litery "proces Lebrun" czarne, straszne

robiły wrażenie. Na gazecie leżał podłużny kawałek papieru, na którym,

niezaschłym jeszcze atramentem widniały, drżącym pismem księcia nakreślone

litery:

Toni.

"Posadzony o infamię, z której mi się oczyścić niepodobna, żyć dłużej nie mogę.

CZARNE PERŁY.

"Miłość jest ślepą Wszystko jej można wytłomaczyć." W maju r. Żytomierz to rendez-vous milionerów zabranych prowincyi, gdy im

za granicę paszportów wydawać nie chciano, przypomniał sobie swoje świetne i

niepowrotne lata. Lata, które w szale zabawy panom płynęły, a bogaciły

miasteczko, lata, w zdumienie wprowadzające cudzoziemców.

Pewien książę

francuski, znalazłszy się jednej z tych zim, na balu u pani marszałkowej]

szczerze oświadczył, że żaden salon paryski nie mógłby iść z jej salonem w porównanie, pod względem zbytku toalet, pod względem tak liczного zgromadzenia milionerów i ludzi wykształconych, reprezentujących pierwsze linie najznakomitszych polskich rodzin, kobiet, przy których zgasłaby większa część diusztes i markiz.

Ruch był niepospolity. Na kilku ulicach zgromadziły się i rozlokowały po piętrach, rodziny z gubernii Wołyńskiej i Podolskiej.

Ekwipaże dam ciągle i bez zmęczenia oddających wizyty, wolnym krokiem, jak na pogrzebie, jeden za drugim postępowały, nie mogąc się wyminąć.

Sławuckie konie i rysaki przyzwyczajone do przestrzeni, do stepów, spinały się

dęba, lecz posłuszne były i cierpliwe, wiedząc, że w karecie siedzi śliczna ich

pani, to hrabina Mrędzyborska, chcąc powiedzieć bonjour pani Milskiej, lub

Jański, którego na pośrednika w sprawie honorowej wybrał książe Mireski albo

baron Iziński, któremu śpieszno było na śniadanie kawalerskie do hrabiego

Wilskiego.

A przytem niesłychany zbytek liberyi i służby. Wszystkich uwagę zwracała służba

w herbowych barwach, niebieskich ze złotem, złożona z niezliczonej ilości

świeżych, prosto od krawca kozaków, z pasami i baraniami czapkami o spadających

złotych fezach.

Tłumy się gapiły, a panowie i panie widząc tylko znajomych, zapominali, że to miasto. Płynęły więc dowcipy, półsłówka, skinienia i znaki, z okien na ulicę, z karety do wolanta, z kozła amerykańska do głębokiej landary. Na ulicy byli jak u siebie w salonie, między dobrymi znajomymi.

Dwa dni już trwał ten szalony i skoncentrowany ruch coraz większy, bo drugiego dnia pod wieczór, nie można się było przecisnąć formalnie przez ulicę, a jeszcze widziano nowo przybywających, jeszcze ciągnęły ogromne karoce i powozy, wyładowane walizami, a zmęczone, spocone konie dowodziły, że ich panom śpieszno było, by nie przybyć zapóźno.

Trzeciego dnia rano wszystko się uciszyło, ale czuć było, że tylko na to, by za parę godzin z większą świetnością i liczniej wystąpić.

W podwórcach myto powozy, czyszczono na gwałt konie, służba miała minę ważną, przygotowującą jakiś występ.

Panów ani pań się nie widziało, tylko kozaków na pół ubranych, zafrasowanego właściciela hotelu, który bezprzytomny wybiegał na ulicę, by jeszcze coś przypomnieć pędzącemu kelnerowi; furmana, który w głębi podwórca okładał niemiłosiernie podfurmańczuka, wołając "guzik nie wyczyszczony;" pannę z magazynu mód, która pędziła z koszem kwiatów sztucznych, nie uważając, że te

wylatują i drogę ścielą różami pędzącemu za nią subjektowi
od żytomierskiego
fryzyera.

Fryzyer doganiał panienkę, zbierając rozsypane kwiaty i
śpieszno mu było, gdyż z
uśmiechem na ustach już był o dwa kroki od ściganej, gdy go
gwałtem, łapiąc za
połę surduta, zatrzymał jakiś mężczyzna. Po minie znać było
wiejskiego
obywatela, po stroju — kogoś nie biorącego udziału w ogólnej
gorączce.

Panie! przepraszam pana, ale dopiero co przybyłem... — To
mnie nic nie obchodzi, mnie się śpieszy! — wołał wyrrywając
się fryzyer.

— Panie, ja pana nie puszczę...

— Panie! na mnie ze swą głową czeka księżna Drucka.

— Musisz mi pan powiedzieć — wołał, łapiąc silniej za połę
fryzyera obywatel.

— Co, co panie?

— Co to się dzieje w Żytomierzu?

— Czy pan żartujesz? puść mnie pan.

— Dalibóg nie wiem.

— To skowronki panu powiedzą, a mnie pan puść.

Fryzyer zrobił wysiłek, ale szlachcic trzymał.

— To mów pan dwoma słowami.

— Ślub hrabiego Wilskiego! — zawołał fryzyer, wyrwał się i
pobiegł kłusem za
modystką.

Szlachcic stanął.

Przebiegał kozak o spokojniejszej fizyognomii.

— Racz mi powiedzieć — zawołał szlachcic zatrzymując go

— z kim się żeni hr.

Wilski.

— Z panną marszałkówną Beżem — odrzekł kozak wyniośle, przystając.

— A! — bąknął szlachcic — dziękuję ci. — Co za szczęśliwa ta Ewcia Beżem! — mówiła siedząc przy toalecie siedemnastoletnia blondynka do siedemnastoletniej brunetki, siedzącej przy drugiej toalecie w tymże pokoju. Za blondynką jakoteż za brunetką stały dwie starsze już panienki i zajmowały się jedna z najważniejszych funkcji niewieściej elegancyi, czesaniem swych pań.

— A! a! szarpiesz mi włosy! — zawołała krzywiąc się brunetka, a obracając się do towarzyszki rzekła: — Myślisz? ja myślę, że nie... Marysiu, grzywę daj więcej na czoło — i znów do blondynki — ona idzie dla majątku.

— Naturellement, ale też taki majątek zastąpi wiele. Mama opowiadała, że temu lat dziesięć, jak Wilski, który wtenczas miał lat trzydzieści, wchodził do salonu, to wszyscy mówili do panien: "Mesdemoiselles, prenez garde, des millions vous regardent.

— No proszę cię — przerwała brunetka — i ta Ewcia go złapała. Czy ty ja znajdujesz taką ładną?

— Pas dutout i taka kokietka.

— I to się widać podoba?

— Myślisz?

— Ah! Marysiu, wyrywasz mi włosy... O! okropna kokietka! '

— Mówią, że Wilski, to największa partya w kraju.

— Brzydki, taki ciężki, i już stary.

— Mówią czterdzieści.

— Wygląda na więcej. — A ona siedmnaście.
— Ma ze dwadzieścia... Marysiu, mówiłam grzywka
naprzód... Księżniczka Irena...
— Wściekła! tak na niego polowała.
— Il aurait pu mieux tomber, moja droga.
— Ah! mój Boże!
— Wzdychasz?* * *Około godziny dwunastej zajeżdżały
przed kościół ekwipaże.
Zgiełk, tłum, nie do opisanania.
Ulice pozamykane dla zwykłych śmiertelników; przejazd
dozwolony tylko ekwipażom
weselnym. Żołnierze szablami rozpraszali tłumy i żydów
gwałcących szpalery
wojskowe, pilnujące porządku.
W natłoku obawiano się wypadku uduszenia.
Od przedsionka do głównego ołtarza szpaler złożony ze stu
niebieskich, lśniących
od złota kozaków, wstrzymywał tłoczących się i tworzył
przejście dla
zaproszonych.
Do kościoła prowadzące drzwi były strzeżone, bo w kościele
było przepełnienie.
Nasz szlachcic chciał się dostać.
— Nie mogę, nie mogę panie — wołał lokaj strzegący jednych
z drzwi bocznych.
— Ależ ja muszę być w kościele. — Niepodobna! igłaby się
nie zmieściła.
— Jestem krewnym panny młodej.
— Panie! nie mogę.
Szlachcic coś wsunął w rękę lokaja i drzwi się uchyliły.
Siła kułaków dostał się nasz otyły i barczysty jegomość aż do
linii kozaków.

Tu znowu wsunął coś w ręce, aż dwom kozakom, którzy jego
głowie znaleźli małe
miejsce między swemi stykającemi się ramionami.

Szlachcic się przypatrywał.

Wspaniałe pochod aksamitów i atłasów, pereł, brylantów i
kamieni, koronek i
haftów.

Co tylko trzy ogromne prowincye liczyły głów znakomitych,
to można je było
widzieć defilujące.

Kobiety jakby wyjęte z ram Van Dycka, Bacciarellego i
Greuza.

Mężczyźni choć we frakach, ale postacią przypominający
Matejkowskie figury.

Pochód trwał bez końca.

Przerwa!

Wysoki, otyły, siwawy, czerwony na twarzy niesympatycznej
na pierwszy rzut oka,

o wyrazie bezmyślnym i ciężkim, o wypukłych, dużych,
siwych oczach,

niespokojnych lecz bez życia, wszedł prowadzony pan młody:
Seweryn hr. Wilski.

I Ewcia, wysmukła, uśmiechnięta brunetka, biała jak alabaster,
z czarnemi

oczami, ślicznemi, tak żywemi, błyszczącemi, tak dziwnym,
przejmującym wyrazem obdarzonemi, że napróżno genialny
malarz, oddaćby je usiłował.

Były to oczy, które przyćmiewały twarz, osobę całą! Oczy,
które, gdy kto raz

widział, całe życie pamiętał. Oczy, których się można było
bać, i za któremi

można było szaleć. Oczy, jakie się przecież choć raz wżyciu
widzi, i później

napróżno ich szuka.

Przed wielkim ołtarzem jakby salon, w pośrodku którego
klęczeli państwo młodzi.

Jański nachylił się do Międzyborskiego.

— Kobieta, która ma takie oczy, będzie panią każdej sytuacji
— szepnął.

— Jabym się ich bał — odrzekł August.

— I ja także.* * *Po ślubie wspaniały obiad i wieczorem już
majowym, podążyli państwo młodzi
rozstawnymi końmi do najbliższej stacji pocztowej, z kądem
udawali się prosto do
Paryża.

Na drugi dzień w Żytomierzu spokój był przerywany tylko
turkotem odjeżdżających
pojazdów.

Szlachcic nasz w oknie restauracji pisał list.

"Kochana żono! Wystaw sobie, że od wczoraj jestem w
Żytomierzu, gdzie chciałem
zabawić tyle, by dać wytchnąć koniom. Trafiłem, zgadnij, na
ślub tej Ewci Beżem,
pamiętasz, którą jej matka, gdy z tym pułkownikiem
wyjechała za granicę, nam pod pozorem kuzynostwa
zostawiła.

Przypominasz sobie? I wczoraj odbyło się jej wesele, wyszła
za hrabiego

Wiiskiego. Przepychnięty, zbytek i zjazd niesłychany. Ktoby był lat
temu dziesięć

przypuszczał? Litowaliśmy się nad biedną Ewcią, a tu dziś
pierwsza dama w

Polsce; pierwsza, ani gadać, tysiące tysięcy morgów. Ludzie
różnie o tem mówią,

familia hrabiego różne stawiała przeszkody. A. matka, także
pewnie nie wiesz, że

po tej ekspedycji z pułkownikiem, wyszła drugi raz za mąż za marszałka Kameńskiego, to dużo pomogło. Znałaś matkę, to Ewcia nasza trzy razy piękniejsza. Zaraz jadę dalej, ściskam cię, z Odesy napiszę więcej."* * *W kilka lat potem, karnawał zgromadził liczne towarzystwo w Kijowie. Jak wielki był zjazd, jak liczne i wyborowe towarzystwo, dość powiedzieć, że hrabina Wilska gardząca wszystkim co polskie, i nieumiejąca się bawić, tylko w Paryżu lub Rzymie, zjechała ze swym mężem. Ewcia przez lat kilka zachwycała europejskie stolice; przybycie jej do Kijowa zrobiło pewną sensację i całe towarzystwo z ciekawością wyczekiwało pierwszego balu, by ujrzeć tę Ewcię Bezem, która czarowała w Kijowie, Żytomierzu i Lublinie, a która teraz jako hrabina Wilska królową była, jak wieści dochodziły, na zebraniach w pierwszych stolicach, na cesarskich dworach, którą malować, za zaszczyt sobie poczytali pierwszorzędni artyści, a opiewać pisarze i poeci. Wiedziały o tem damy polskie i ciekawe były. W Kijowie nie obeszło się bez Jańskiego. Zjechała i hrabina Międzyborska, byli księstwo Mirescy i Kirski Tolo już z żoną, byli prawie wszyscy. Bale i zabawy zapowiadały się bez końca i codziennie. Piętnastego stycznia wieczorem u hrabiny Międzyborskiej, szesnastego bal ogromny

u mecenasa Czerskiego. siedmnastego bal u księżnej
Mireskiej, ośmnastego
przyjmowała poważna pani Milska; każdy dzień zajęty.
U Celiny był mały wieczór, i tu po raz pierwszy pojawiła się
Ewcia, piękniejsza
niż dawniej, otoczona tym blaskiem sławy europejskiej
piękności, z tą pewnością
i odrębnym rodzajem obycia, właściwym osobom, które na
deskach wielkich teatrów
tej komedyi życia, występować przywykły.
Co za śliczna pozycja tej Wilskiej. Żona najbogatszego
prawie człowieka,
szalenie przez męża kochana, choć o wzajemności kroniki
salonowe milczały.
Nosząca przytem świetne starożytne nazwisko, a sama piękna
nad wyraz, sprytna,
wyśmienita komedyantka, genialna, jako kobieta światowa,
której mogła być
pierwowzorem. To też otoczoną była. Mężczyźni uważali
sobie za zaszczyt jej słówko, za
szczęście jej uśmiech; kobiety zazdrosne z natury,
zazdrośniejsze jeszcze przez
wzgląd, że tą gwiazdą, tą syreną była Ewcia.
Ewcia, która dziś zaledwie raczyła poznawać księżne i
hrabiny, która mówiła
tylko o panujących i wielkich tego świata, Ewcia, która
zapomniała, jak na imię
hrabinie Międzyborskiej, a jak z domu księżna Rurykowa,
Ewcia, która z miną
królowej wszystkich na świecie salonów, otoczona chmarą
fraków, ze spokojem
marmurowej Wenus, okiem Diany, z lornetką przy oczach, jak
komedyi przypatrywała

się kijowskim świetnościami.

Ewcia jednak była uprzejmą, ale tą uprzejmością, właściwą pewnym istotom, które się czasem nazywają w świecie wielkimi damami, uprzejmością odpierającą wszelki zarzut, nadzwyczajną w słowach i gestach pełnych atencji, a która w gruncie jest niegrzecznością.

Ewcia do ziemi, dworsko się kłaniała wszystkim, ale nie wszystkim rękę podawała.

Ewcia wszystkim wizyty pooddawała, ale nie wszystkich znała.

Ewcia rzuciła bilet o drugiej hrabinie Celinie, która przyjmuje od piątej. Ewcia

przypominała się pani Kirskiej w słowach rozczulających, ale zapominała, że pani

Tolowa jest hrabiną, czy też nią być pragnie.

Ewcia robiła sobie nieprzyjaciół i to robiła z miną, która oburzała, z miną

wielkiej pani, która się połapać nie może na małej scenie, w ciasnym salonie.

U mecenasa Czerskiego był pierwszy bal w całym tego słowa znaczeniu. Czerski był

adwokatem, doradzcą panów trzech prowincji od lat wielu, był znakomitością w

swoim rodzaju. W jego salonach miało się okazać jak licznym jest towarzystwo

karnawałowe, jak świetnymi toalety i dalsze aspekta.

Pani mecenasowa, osoba wiekowa, robiła honory swych salonów, które się otwierały

dla trzech naraz poważnych lecz brzydkich córek.

Czerski to przyjaciel arystokracji zabranych prowincji; on każdemu wyświadczył

przysługę, każdego znał osobę i interesa.

Szmer, gwar, zrobił się ze szeptania kilkuset osób, gdy wchodziła hrabina Ewa. W

koronkowej sukni, na żółtym tle atłasu. Falbana koronkowa tej sukni u dołu

dokoła podtrzymywaną była brylantami, jak orzechy, które jaśniej niż kandelabry

świeciły, lecz ciemniej niż jej oczy. A na szyi! na szyi, rząd monstualnych

czarnych pereł.

— Czarne perły Ewci!

— Czarne perły Wilskiej!

— Czarne perły hrabiny. Te trzy słowa kursowały po salonach, i Ewcia była

otoczoną, tak otoczoną, tyle oczu i lornetek czuła

skierowanych na siebie, iż

była zażenowaną.

Wilski dumny, z miną dyplomaty, której przed kilku laty u tego pana polskiego

nie znano, stawał najczęściej przy drzwiach, przy ścianie,

siadał na ustroniu, mało mówił, mało

pił, tylko śledził ruchy żony, jej powodzenie.

Seweryn był zazdrosny, co chcąc ukryć, przybierał

dyplomatyczną minę, która była

nawet do twarzy temu nieudanemu polskiemu magnatowi.

Wilski siedział w saloniku zamyślony.

— Czarne perły twojej żony robią furorę — zagadnął go

Ożarski, stojąc nad nim.

— Czarne perły?

— Czarne perły są śliczne, nic podobnego nie widziałem.

— A!

Ożarski poszedł dalej. Wilski siedział. Przebiegał przez salonik książkę Mireski.

— Pan tu! ah! pańska żona będzie powodem nieszczęścia, nasze Wołynianki oczy potracą, bo rzeczywiście te czarne perły... przechodzą wszystko.

Przebiegł.

Wilski znów się zamyślił.

Przechodziła przez salonik z lornetką na oczach pani Milska.

— Vous ici? perły żony hrabiego, to królewski bijou.

Hrabia wstał; matrona już przeszła.

Wilski podążył do salonu.

Ewcia, która tańczyła, szukała wachlarza.

Skorzystał z tego mąż, przysunął się. — Zlituj się — szeptał

— wszyscy mnie zaczepiają o te czarne perły, których u ciebie nie znałem, cóż mam odpowiedzieć?

— Daj mi spokój.

Hrabia poszedł dalej i stanął we drzwiach prowadzących, z sali balowej do innych salonów.

Hrabina Międzyborska się przybliżyła; nie tańczyła od tragicznej śmierci męża.

— Perły Ewci — mówiła obracając się do Wilskiego — są cudowne, nic podobnego nie widziałam...

— A!

— Mąż mój między rodzinnymi kosztownościami miał dwie takie, miałam je w kolczykach. Po sprzedaży Międzybora, gdyśmy wpadli w tak złe interesa, sprzedaliśmy te perły w Wiedniu i dostaliśmy dwadzieścia tysięcy franków, a powiesi panu, że były znacznie mniejsze i nie tak równe, jak Ewci.

Hrabia robił dziwnie głupią minę.

— Ewcia ma ich ze trzydzieści, ba! więcej — dodała hrabina, rzucając wejrzenie w stronę Ewci, która tańczyła kadryla. — Są śliczne! — i przeszła dalej.

Wilski stał jak wryty.

Kadryl się skończył.

Ewcia opuściła salę, pobiegł za nią hrabia.

— Zlituj się — szepnął do ucha — te perły hrabina Celina taksuje na milion

franków, wszyscy mnie się pytają, ja robię głupią minę.

— Ah! jak ty mnie nudzisz...

— Ale, rozumiesz... — Są fałszywe — rzuciła mu do ucha i poprosiła Mireskiego by ją zaprowadził do bufetu.

Uspokojony Wilski poszedł zająć swoje miejsce w małym saloniku, z którego go czarnymi perłami wypędzono.

Już siedział pod oknem, zanurzony w głębokim fotelu, ziewając i czekając końca.

Dwie damy, brunetka i blondynka, coś żywo rozmawiając, stanęły tyłem do niego,

choć tuż przy nim, widocznie go nie widziały!

— Te czarne perły Ewci! — mówiła brunetka.

— Śliczne!

— Zkąd? nie wiesz?

— Jakto, ty nie wiesz?

— Nie wiem.

— To przecież gazety w swoim czasie pisały o tem nieznacznie.

— Opowiedz! zlituj się.

— To historia skandaliczna.

— No mów! prędko!

— Musiałaś o tem słyszeć. W Paryżu lat temu parę, młody ten książę d'Acajou, który je Ewci darował, potem ta historia, matka chciała odebrać, były to perły familijne, d'Acajou był małoletni, wywieźli go z Paryża, ale perły...

— Zostały u Ewci?

— Zostały.

— Pst!

— Co? — Pst!

— Wilski za nami siedzi — rzekła półgłosem blondynka, i obie się odsunęły, by jaknajprędzej ulotnić się z saloniku.

Wilski purpurowy na twarzy, wybiegł z salonu. W przedpokoju lokaj mu podawał palto.

— Czy pan Jański jest tu? — spytał.

— Niema!

— Powiedz pani, gdyby się o mnie pytała, zem zasłabł — rzekł hrabia do służącego i wybiegł.

— Upił się! — zaśmiał się lokaj do drugich, zamknawszy drzwi za Wilskim. * * * Jański czuł się tego dnia zmęczonym, a że już nie był pierwszej młodości, w której nogi, jeśli nic więcej, na balach są potrzebne, więc wstrzymał się od balu Czerskich, by odpocząć i znów nazajutrz świeżym się pokazać na zebraniu u pani Milskiej.

Zasnął snem błogim, spokojnym i twardym.

Około czwartej rano, wystrzał z moździerza nie byłby go zbudził.

Ale coś silniejszego wstrząsnęło nim całym; obudził się i w tejże samej chwili

odzyskał zupełną trzeźwość i przytomność.

Do drzwi jego bombardowano. — Otwórz! otwórz! — wołał głos na korytarzu hotelowym.

— Kto tam?

— Otwórz! — i drzwi zatrzeszczały.

Jański poznał głos Wilskiego, zdziwiony, w negliżu nocnym, odrzuciwszy kołdrę,

pobiegł otworzyć ze świecą w rękę, którą naprędce zapalił.

— Seweryn! — krzyknął oświetlając wzburzoną, twarz hrabiego. — Seweryn! —

powtórzył.

— Ja! — huknął formalnie Wilski. Wyrwał świecę z rąk Jańskiego a odłożywszy ją

na stoliku, porwał Jańskiego za ogromny kołnierz nocnej koszuli i rzucił go

kolosalną postacią na fotel. Poczem puszczając kołnierz, obiema rękami wsparł

się na jego ramionach i nie mogąc wymówić słowa, dzikiemi oczyma wpatrywał się w

oczy zaniepokojone przyjaciela.

— Puść mnie, niech wejdę do łóżka lub włożę co, zaziębię się!

— wołał Jański.

— W roku , pamiętasz?

— Co?

— W roku ...

— Tyś oszalał! — zawołał Jański, starając się napróżno oswobodzić.

— Byłeś w Paryżu?

— I ty byłeś.

— Ja wyjeżdżałem.

— A ja nie.

— Więc wiesz! — Seweryn, na Boga, tyś zwaryował!
— Zwaryował! zwaryował! — bełkotał Wilski, a twarz jego przybierała wyraz coraz dzikszy i tem straszniejszy, że ta metamorfoza odbywała się na obliczu człowieka apatycznego. — Zkąd moja żona ma czarne perły! mów! — huczał Wilski, wstrząsając Jańskim, którego przypierał do fotela. Jańskiemu było tego za wiele, w chwili rozdrażnienia zawołał: — Ah! czarne perły twojej żony. Wróble na dachu o nich mówiły. Daj mi... święty spokój.
— Ja chcę od ciebie wiedzieć!
— Doprawdy nic nie wiem... doprawdy...
— Nikczemny!... nie wiesz... nie wiesz, że młody ten ksiązę...
— Jaki? co?
— Młody d'Acajou! — zawołał zaciskając zęby i znów wstrząsając Jańskim.
— Więc wiesz! do kroćset dyabłów! — zawołał Jański — puść mnie teraz.
— Więc d'Acajou?
— D'Acajou, d'Acajou i d'Acajou, mój kochany, już wszyscy o tem zapomnieli, stara jak świat historia! Jesteś śmieszny, puść mnie do dyabła!
— Więc prawda! — zaryczał hrabia i puścił Jańskiego. — Więc prawda! — powtórzył zachrypniętym głosem i jak bomba wybiegł z pokoju. Jański stanął osłupiały, teraz mu się dopiero otworzyły oczy. Chciał biedz za Wilskim, ale był tylko w koszuli, pobiegł po szlafrok, wyleciał na korytarz, by usłyszeć... zamykanie ciężkich hotelowych drzwi za hrabią.

— Głupstwo palnąłem — mrucał do siebie, zdejmując szlafrok i kładąc się do łóżka — głupstwo wielkie. Ale któż mógł przypuścić, by był taki ślepy... potem ten napad, formalnie mnie dusił... będę miał katar jutro... pierwsze głupstwo w życiu. — I dalej mrużąc usnął znów snem spokojnym. Późno się obudził i zastał na stoliku bilet: Comtesse Eve Wilska

née

Bezem

Proszę pana natychmiast. Seweryn prawie umierający! — Co panowie? — zawołał Jański wchodząc do pokoju, w którym nad chorym hrabią doktorzy robili consylium.

Jeden z nich podsunął się do przybywającego. — Pst! chwilowo lepiej — mówił cicho — zażycie gwałtownej trucizny, hrabia za godzinę...

— Dieu!

— Albo żyć przestanie, albo będzie zupełnie zdrow.

Lokaj uchylił drzwi, przy których stali rozmawiający i cicho do Jańskiego rzekł:

— Pani hrabina prosi pana zaraz. Jański zegnał się z doktorem.

— Czy można widzieć chorego?

— Nie, pod żadnym pozorem.

W trzecim pokoju spotkał się z Ewcią, której oczy błyszczące, nozdrza rozwarte, twarz blada, zdradzały niepokój wielki.

— Co? — zapytała, podając rękę Jańskiemu.

— Bardzo źle.

— Przytomny, widziałeś go pan?

— Nie, nie można.
— A powód, powód?
— Nie wie pani?
— Nie wiem.
— Otrucie... może przypadkowe.
— Otrucie?
— I to gwałtownym środkiem.
— Impossible!
— A przecież tak jest.
— Nierozumiem. Ale Seweryn był u pana wczoraj... pan
wiesz? po co? mnie samą
zostawił u Czerskich. — Był.
— Po co? w nocy?
— Nie mogę ukrywać, może to się pani przyda...
— Mów pan, wszak liczysz się do naszych prawdziwych
przyjaciół... proszę.
Jański milczał.
— Z jakiego powodu miałby Seweryn... — pytała hrabina.
— Z powodu...
— No?
— Czarnych pereł.
Ewcia nie odpowiedziała, oczy jej zabłyszczały dzikim
wyrazem, który jej był
czasem właściwy, który Jański znał:
— Czarnych pereł! ha, ha, ha! — zaśmiała się głośno,
szyderczo — i pan mnie to
mówisz, que c'est drôle.
Te kilka słów rzuciwszy z uśmiechem na ustach, a dzikim
wejrzeniem, miną
królowej, zmierzywszy od stóp do głów Jańskiego, przeszła w
kierunku apartamentu
hrabiego.

Jański stał jeszcze chwilę, osowiały, poczem jakby przytomniejąc, wybiegł z mieszkania Wilskich.

— Kto wie, czy drugiego nie palnąłem głupstwa — mruknął do siebie, znalazłszy się na ulicy.* * *Wieczorem u pani Milskiej towarzystwo było prawie w komplecie, brakowało tylko ślicznej Ewci.

Jański blady spacerował po salonie, coś rozmawiając z dopiero co przybyłym księciem Koryńskim.

W towarzystwie, w małych kółkach szeptano o Ewci, o chorobie hrabiego.

— Panie Jański — wołała głośno pani Milska — nie wiesz pan, czy Wilscy będą, dotąd ich niema?

— Nie wiem — odrzekł sucho Jański.

— Hrabia podobno chory — przerwał Koryński.

— Mówią, że bardzo źle — odezwał się z kanapy Kirski.

— Podobno zdrów — wołał Mireski. Brunetka z blondynką coś szeptały w framudze okna.

Otworzyły się podwoje i ukazała się śliczna postać Ewci, Ewci w czarnych perłach.

Wszystkich oczy na nią się skierowały.

Jański z miną osowiałą wytrzeszczał oczy; nie wierzył im.

Tak, Ewcia, wspaniała, ta sama, królowa piękności.

Jańskiego rysy jeszcze bardziej się wyciągnęły, gdy ujrzał za Ewcią wchodzącego

hrabiego, bardzo bladego, bardzo słabego, lecz wchodzącego z uśmiechem na ustach i miną dyplomaty.

— Dzieją się cuda — mruknął — wielkie palnąłem głupstwo
— i wysunął się
cichaczem z salonu. Wilskiemu wieszowali zdrowia, o
którem rano fatalne, fałszywe rozeszły się
wieści.

Jański siedział zamyślony w fumoirze.

Nadszedł Mireski i zapalając papierosa, usiadł obok niego.

— Czyś słyszał co mówią o Wilskich? — zapytał cicho.

— Nie.

— O perłach?

— Nie.

— Wieczorem rzecz się rozeszła po mieście.

— Nic nie słyszałem.

Do fumoiru wszedł Koryński z Wilskim rozmawiając.

— Kochany hrabio! — mówił Koryński — perły twojej żony
są piękniejsze, niż sobie
wyobrażałem. Gdzież je złowiłeś?

— Na licytacji po lordzie Dodley w Londynie — odrzekł
cicho lecz powoli Wilski,
rzucając okiem w stronę Jańskiego.

— A! — wykrzyknął Koryński i zapalili papierosy.

— Słyszałeś? — zapytał cicho Mireski Jańskiego.

— Słyszałem! — a w myśli dodał sobie — dwa palnąłem
głupstwa!

MIMI!

"Serce kobiety ...

Czem jedno podrażnisz, tem

drugie zdruzgoczesz." Mimi cóż to było za śliczne stworzenie,
jakby wyjęte z posągu trzech gracy i lub

obrazu Mackarta. Ta Blondynka alabastrowej cery twarzy
miała oczy niebieskie

ślicznie oprawione, brwi długie i równe rzęsy, które cień
rzucały na błyszczące,

jak iskry oczy. Nosek prosty, mały, był trochę podcięty. Usta
jak koral

czerwone, wargi, za którymi szereg białych ząbków. A
rumieniec nie opuszczał tej

twarzy, na której igrał ciekawy uśmiech szczęścia.

To stworzenie miało lat ośmnaście i przybyło do "Warszawy
na karnawał r. .

Jeden okrzyk admiracyi, podziwu, uwielbienia, dał się słyszeć
we wszystkich

salonach i Mimi stanęła na piedestale, podtrzymywanym przez
całe towarzystwo. Mimi tańczyła w pierwszej parze na

każdym balu. Bez Mimi nie było udanego
wieczoru ani recepcyi.

Mimi robiła wrażenie słońca. Wchodząc, ożywiała, rozjaśniała
salon, orzeźwiała

jego atmosferę. I zarówno przez młodych i starych obojga płci
była lubiana

Bo też była sympatyczną. Dobroć tryskała całą swą potęgą z
jej postaci. A ten

dar szczególny, jaki miała, przypodobania się każdej i
każdemu, podbijał.

Darmobyś szukał w wyrazie jej twarzy, obserwując ją
godzinami, zarodu

zazdrości, pychy, lub innych wad, właściwych kobietom
podobno od kolebki.

Mimi był to aniołek, a przypatrując mu się, zalem się
przepełniało twe serce na

myśl, że tę śliczną duszę skalać muszą, choćby się tylko o nią
ocierając,

światowe namiętności, że te oczy czyste, muszą wcześniej czy
później, zalać się

łzami.

Bo Mimi zdawała się nie wiedzieć, że na tym świecie są
zawody, zmartwienia,
rozczarowania, że z jej obliczem trudno przejść przez życie,
nie zawadzając o
ciernie lub kamienie, i że te kamienie strasznie bolą nóżkę
przyzwyczajoną do
perskiego dywanu, rękę opiętą w duńskiej rękawiczce a serce
szczelnie zamknięte
i owinięte. — Owinięte czym?... Illuziami, ślicznymi
marzeniami, zieloną
nadzieją i tym tysiącem rzeczy, w które jedna na sto, taka
Mimi, ślepo wierzy.
Któż i gdzież taki odważny, któryby jej oczy otworzył? A
choćby się znalazł, czyżby uwierzyła?
A gdzieżby się znalazł?
Znajdzie się — mówił Jański, jej główny admirator, niestety
już ożeniony —
znajdzie się pod postacią... męża...
A rodzice przywieźli Mimi z daleka z Litwy, by jej właśnie
znaleść męża,
naturalnie jej godnego.
Rodzice Mimi, Państwo Wilpolscy, ludzie, zapewne
niezliczonych cnót, skoro taką
córkę wychowali, pierwszy raz opuścili domowe penaty na
dłużej, widząc, że Mimi
rwie się do świata, który był dla niej rajem, ziemią obiecaną.
Państwo Wilpolscy, nie byli ludźmi XIX wieku i tegoczesnych
salonów. Jakkolwiek
jedynaczce dawali znaczny posag, oszczędnością uzbierany,
jakkolwiek Mimi
należała do grubych dziedziczek, oni pragnęli dla niej
człowieka, dającego

pewność szczęścia. Nie żądali partyi, ani tytułu, nie żądali nawet majątku.

Pani Wilpolska głośno to powiedziała kilku matronom; można sobie wyobrazić, jaki to miało skutek.

Mimi jednomyślnie w zachwyt wprawiła wszystkie matki, nawet takie, które miały córki niby ładne, jeśli miały i syna.

A takie, co nie miały syna, miały zawsze siostrzeńca, kuzyna, czasem brata męża.

Skutek pozostawał ten sam. Mimi była otoczoną. Rozrywano ją w tańcu, po kotylionie pani Wilpolska ze spokojem posagowym na twarzy, wносиła za córką, niezliczoną ilość bukietów, które rozlatujące się zbierał, idący znów za nią, poczciwy pan Wilpolski.

Minii tak się bawiła, ale to tak, że zdawała się nie spostrzegać tych

westchnień, tych ócz miłośnie spoglądających, tych wykrzyków zachwytu, które ją ścigały, gdziekolwiek była.

Jednym słowem, nie znalazłbyś tego roku w całym towarzystwie, matki, któraby opór stawiała woli swego syna, poślubienia Minii. Nawet wymagająca, dumna urodzona z krwi panującej, księżniczka z domu, hrabina Sicińska, miała

powiedzieć księżnej Borysowej:

— Gdyby mój syn chciał, gdyby... tobym niemogła nic mieć przeciw temu.

Tę samą pozycję, co między pannami zajmowała Mimi, zajmował między mężczyznami hr. Leon Siciński.

Jedynak, magnat, dziedzic małego państewka, opartego na prawach ordynackich, syn kobiety niepospolitego rozumu i niepospolitej dumy, z swych kolligacji i rodu, sam zaś osobiście nie przystojny, lecz piękny, co tak rzadko u mężczyzn się trafia, zaczynał rok dwudziesty i siódmy. A już miał pewną przeszłość polityczną, znany w literaturze, słynny w sporcie z hetmańskiej, że tak powiem, brawury. A co mu dodawało może uroku w oczach kobiet, znany był w półświecie i otoczony pewną aureolą, którą zawdzięczał nieznacznej bliźnie pod lewym okiem, otrzymanej za granicą, w obronie honoru kobiety kochanej. Czy nie dość, by w salonie zwracać na siebie uwagę, by między dostojnymi, żądać pierwszego miejsca? To też na twarzy hr. Leona, malowała się niezachwiana, nie znająca zaprzeczenia pewność siebie, która sprawiła, że Leon przez mężczyzn niekoniecznie był lubianym. Bo o ile ta dumna pewność siebie, zawsze zdobiąca, jeśli nie śmieszna, oblicze młodzieńca, podoba, się, czaruje kobiety, o tyle jest wstrętną większej części mężczyzn, to jest tym, którzy by jej nosić nie umieli. A takich jest większość.

Nie było matki, któraby odmówiła córki hrabiemu Leonowi, nie mówiąc już o pannach, których on był ideałem. * * *Karnawał upływał wśród zabaw, a Leon używał, bawił się, tańczył. Ale z wielką

decepcją niejednej mamy i córeczki, chęci odlania
którejkolwiek swego życia, w
niczem nie okazywał.

Mimi, ten kwiatek, zaledwie zwracała jego uwagę. Hrabia był
i chciał być

oryginalnym, a był Polakiem i magnatem. To wystarczało, by
właśnie nie bił

czołem przed tą, którą ogół postawił na piedestale.

Gdyby Mimi nie była królową akredytowaną, możeby i Leon
znalazł się w gronie jej

wielbicieli i tem samem ją na piedestał wzniósł. Tak stały
rzeczy pod koniec karnawału, gdy nieprzewidziany wypadek
zmienił

położenie, wywrócił do góry nogami affekta i politykę
towarzystwa.

Państwo Wilpolscy, jak głosiły kroniki salonowe, odrzucili
niejednego

pretendenta o rękę córki, cicho, bez rozgłosu, grzecznie i
nieznacznie.

Szeregi fraków, otaczających białą lub różową sukienkę tej
porcelanowej figurki,

w której jednak biło serce, przerzedziły się.

Uśmiechy i wyrazy serdeczne, z jakimi witano z początku
Wilpolskich, stawały

się rzadkimi. Dawały się czuć ukryte urazy w sercach,
napętniających salony.

Ci poczciwi ludzie jednak, może nawet i nie spostrzegli, że
temperatura, jaką

byli otoczeni, ochładzała się stopniowo.

Mimi jednakże miała stałego wielbiciela, księcia Borysa,
któremu nic nie można

było zarzucić, prócz tej drobnostki, że nie miał majątku.

Książę Borys otwarcie starał się o rękę Mimi, z łagodnym spokojem, dając się poznać, ostrożnie, by nie zstraszyć panny, lub rodziców. Matce się podobał, z czem się nie tała. I córce się podobał, to było jawne i bardzo się podobał. Ale panny są takie dziwne. Nawet takie, jak Mimi, aniołki, gdy im przyjdzie wybrać męża, mają coś nieanielskiego, coś niezrozumiałego. W kotylionie, gdy tańczyła z księciem, order dawała hrabiemu Leonowi, a gdy raz, czy dwa razy, z nim tańczyła, order przypięła księciu. Gdy dziecko nawet w kotylionie przypina order, a dziecko to ma milion posagu, to fakt ten jest rzeczą zwracającą uwagę matron, mężów stanu i dygnitarzy. Nie wiarogodne, ale prawdziwe! — A zrozumiałe, bo fakt ten, nie robi mężów stanu, dygnitarzy i milionerów. Po balu u księżnej Borysowej, w jeden z ostatnich dni rozbiegła się wiadomość jak błyskawica, że książę oświadczył się o rękę Mimi. W południe opowiadano, że Mimi zażądała ośm dni do namysłu. Wieczór i następnych dni widziano przed domem, w którym mieszkali Wilpolscy, niejedne stacyonującą karete, na drzwiczkach których, wiązały się z innymi książęce herby i mitry. Borysowie — mówiono — byli z całym spokrewnieniem towarzystwem. Młody książę, liczył w mieście tego karnawału trzydzieści ciotek, nie licząc

dalszych à la mode de Bretagne, kuzynek i stryjenek i takiej samej legii w płci męskiej.

Wilpolscy zawalieni byli biletami, comtesse i princesse, "z książąt hrabina", ale bynajmniej nie oszołomieni. Wilpolscy nie byli dziećmi salonu wielkiego świata, XIX wieku. Mimi miała zupełną swobodę w wyborze. W kilka dni po oświadczeniach powiedziała jej matka.

— Zupełnie na nas nie uważaj. Jeśli ci się podoba, i nam się podoba, jeśli nie, to...

— To i wam się nie podoba... — rozśmiało się dziecko, ściskając matkę.

Mimi była wesołą, zupełnie taką samą jak wprzód i nikt nie mógł się domyślić, jaką będzie jej odpowiedź. Tańczyła do upadłego, z uśmiechem jednakowym dla każdego. Za zbliżeniem się księcia, lekki tylko wyraźniejszy rumieniec okrywał twarz jej.

A księżne i hrabiny ciotki, jakże też się zachwyciły! La charmante Mimi, la délicieuse enfant! wykrzykiwały w entuzjazmie.

W ostatni wtorek, na balu u pani ordynatowej, Mimi miała z wielką desperacją

księcia, kotyliona z hrabią Leonem.

Leon znajdował pewną przyjemność, w drażnieniu, zawistnie spoglądającego

Borysa. Siedząc przy Mimi, podwajał wrodzoną mu galanterią, rozmawiał, bawił wyraźnie swą dans erkę.

— I za parę godzin koniec karnawału — westchnęła Mimi.
— Chwała Bogu, — odparł Leon.
— Jakto? pan się nie bawi?
— Owszem.
— Więc dlaczegoż pan kontent że koniec? — Powiedzieć pani?
— Proszę.
— Karnawał robi mi wrażenie wielkiego polowania na posagi. Dla niemyśliwych w tego rodzaju sporcie, to niezabawne. W poście trąbka ucicha i ci myśliwi na wielką skalę, ustępują z pola...
— Co pan mówi?
Leon oczami potoczył po sali, ręka machnął.
— Que voulez-vous, ci wszyscy, jak tu są prawie, to łowcy.
— Co pan mówi?
— Nie podoba się pani porównanie, no, to jarmark... na posagi...
Minii się zamyśliła; uśmiech znikł z jej twarzy.
Ostatnia nadeszła figura. Książę przyszedł z bukietem, i obejmował kibić Minii;
hrabia wstał, ironicznie się uśmiechając.
Mimi uśmiech zauważyła.
Nagle muzyka ustała; ordynat pokazywał różgę, — Popielec!
Na drugi dzień rozeszła się wieść, że Mimi odmówiła księciu Borysowi.* * *Pierwszy tydzień postu, minął na dewocyach.
Recepcya u ordynatowej, rozpoczynała nowego rodzaju zabawy, ale zarazem smutkiem napęliła Wilpolskich. Mimi? Mimi otoczona podczas karnawału, uczuła się osamotnioną. Panny zaledwie jej półsłówkami odpowiadając na zapytania, stroniły od niej formalnie i

widocznie. Młodzi ludzie, ci sami, którzy robili słodkie oczy, ograniczali się na cichem "bonsoir Mademoiselle" Księżne i hrabiny ciotki, z ukosa, tem wejrzeniem badawczem, odrębnem, nieprzyjemnem, fiksowały, że tak powiem, to cudowne przed paru dniami jeszcze, dziecię. Mimi ze trzy razy już podczas recepcyi, znalazła się sama, absolutnie samą w kacie salonu. Widzieli to rodzice, widział ojciec, który już był zdziwiony niemało, gdy pojawiając się w fumoirze przerwał bardzo żywą rozmowę, kilku panów, jego "intimes" jeszcze przed tygodniem, a którzy dzisiaj zdawali się go unikać". Widziała matka, która mimo całej swej filozofii, od zmysłów odchodziła, zapewne z obrażonej dumy, uczucia bardzo niemiłego. Pani ordynatowa, witając ja, nie podała jej ręki i zrobiła minę, zdziwioną obecnością pani Wilpolskiej w jej salonie. Księżna Borysowa, która szczególnie przez cały karnawał w jej towarzystwie gustowała, wstała z kanapy, na której ona usiadła. Księżne i hrabiny ciotki, miały ciągle między sobą sekreta. Wtem nie wiedzieć, czy z litości, czy z innych pobudek, ta dumna hrabina Sicińska, ta grandę dame par excellence w swej aksamitnej czarnej sukni, ubranej białemi koronkami, z ogonem, który zajmował ćwierć salonu, przeszła pompatyczne całą długość sali, by się przywitać — z osamotnioną panią Wilpolską.

I robiła to pani Sicińska, u której najstarsze matrony takiej uprzejmości nie znały.

Hrabia Leon, dotąd lekko Minii traktujący, pod koniec recepcyi, długa z nią, miał rozmowę.

Oczy panien rzucały iskry zazdrości.

Książę Borys, który zresztą, jak mówiono, był prawdziwie i bardzo zakochany,

błyszczał nieobecnością, wyjechał był bowiem.

Hrabina wstała, by pomówić z księciem Konstantym; Leon opuścił Mimi, bo

przyzwoitość nie pozwalała dłużej mu z nią, prawie na uboczu, rozmawiać.

I Mimi znów była samą.

Świat, ten cudowny świat, pokazywał swe złocone rogi.

Mimi z oczami, które łzy tłoczące się, lecz powstrzymywane, przyćmiewały,

pobiegła do matki.

Wychodźmy mammo! — przemówiła słabym załzawionym głosem.

Matka spojrzała na córkę, spojrzała wzrokiem, który wyrażał wielką boleść,

zrozumianą przez najmniej próżne matki.

Opuścili recepcye ordynatowej, wynosząc odmienne wrażenie.

Mimi płakała w swem łóżku, przyciskając swą twarzyczkę aniołka do poduszki. — Nie znaliśmy świata! — mówiła

równocześnie pani Wilpolska, do więcej

zadziwionego, niż zmartwionego rneża. * * *Państwo

Wilpolscy w ciągu postu mało w świecie bywali...

Widziano ich raz w niedzielę u państwa Janów, raz czy dwa na mniejszych

zebraniach, raz na małej, z śmietanki towarzystwa złożonej,
repcy u hrabiny
Sicińskiej.

Pod koniec postu, świat zaczynał chować swe złocone rogi.
Ogólne niezadowolenie zresztą panowało; żadne nie układało
się małżeństwo.

Ci Wilpolscy byli śmieszni ze swemi pretensjami!
Hrabina Sicińska chciałaby arcyksiężniczki austriackiej dla
Leona! quelle
sottise!

Tej głupiej Mimi, przewróciło się w głowie, zdaje się jej, że
Leon się w niej
kocha...

Pocziwe dziecko myśli, że swą piękną twarzyczką, i
zakochaną miną, złapie
hrabiego Leona, syna starej Sicińskiej, *quir rêve duchesse*,
c'est assez dire —
mówiła ordynatowa.

Leon, to wielkie dziecko; Warszawa mu przewróciła w
głowie, to wulkan, który nie
wybucha, póki matka żyje... mówiła sprytna pani Rawska.
Léon! ah! Léon, *par boutade*, by coś pokazać, coś dla
oryginalności, z fantazyi,
byłby się w stanie ożenić z tą Mimi... doprawdy!... nicbym się
nie dziwiła... to

Siciński *apres tout*... dziad jego, dał klucz Wołyński... dla
oryginalności...

apres tout byłaby to śliczna para... doprawdy... — mówiła
nieraz, przyjaciółka

hrabiny, księżna Konstantowa. * * *Ostatnia, przed samą
Wielką. Nocą recepcya również u ordynatowej, zakończyła
ten

jarmark, jak mawiał Leon.

Około jedenastej zrobił się formalny popłoch.

— Co? co? — wołano.

— Jański przyniósł wiadomość, że... nie do uwierzenia... że

Mimi była po słowie

z hrabią Leonem.

— Nie było ich.

— Minii po słowie z hrabią Leonem! ca surpasse tout.

— A cóż hrabina matka?

— Uszczęśliwiona!

C'est à ne pas y croire!

— Doprawdy! fakt! w pierwsze święto zaręczyny, wracam od

hrabiny, Leon

zakochany, no' rzecz skończona, zaręczam! — wołał Jański

otoczony.

Przybył książę Konstanty i potwierdził.

— Un fait! — Mimi po słowie!

— Musiała wiedzieć lub przeczuć, skoro Borysowi odmówiła,

— zakończyła

ordynatowa.* * *Książę Borys wybierał się na święta Wielkiej

Nocy do Warszawy.

Wybierał się z ochotą, żywił jeszcze nadzieję.

Miał siadać do sanek, gdy mu oddano telegram.

"Mimi po słowie, z Leonem, zaręczyny w niedzielę," —

Matka.

Borys zbladł, ręką pociągnął po czole, jakby sobie coś

przypominając. Na twarzy

zamalowała się prawdziwa boleść, kojona szaloną złością.

— Jakże ja się zemszczę! — zawołał, a w głosie było coś

przestraszającego swą

siłą, która z głębi płynęła,

Porwał kartkę papieru i pisał: "Warszawa, hrabia Leon

Siciński. Serdeczne

życzenia. Borys."

— Na telegraf! — zawołał oddając służącemu ćwiartkę, — a konie każ wyprzęgnąć.* * *Następny rok zebrał w Warszawie prawie to samo towarzystwo, w którym mało zaszło zmian. Karety księżeń i hrabin ciotek, uwijały się po mieście, a na krakowskiem, pojawiał się często znany amerykański hrabia Leona, zaprzęgnięty paroma karymi ogierami.

Hrabia nie siedział sam, obok niego często znajdowała się Mimi.

Minii szczęśliwa, której ócz łzy pewnie od ostatniej recepcji u ordynatowej, więcej nie zaćmiły, szalenie zakochana, cudownie piękna, bo miłość dziwnie ubarwia piękne twarze kobiece.

A jakże było nie być szczęśliwą? Być Mimi i zarazem hrabiną Sycińską, żoną, tego

Leona, który jednym słowem, spojrzeniem, przewracał w głowach kobietom, i nie

być szczęśliwą? — to czyste niepodobieństwo Leon także kochał.

Później czy wcześniej, wulkan wybuchnie — zapewniała hrabina Rawska.

— C'est une fantaisie, co prędko przejdzie — mówiła księżna Konstantowa.

— Nic okropniejszego dla kobiety, jak mąż pewny powodzenia — dodawała ordynatowa.

To świat mówił, ale Mimi wiedziała, że Leon ją kocha, czuła to.

Czasem, ale to w gorączce, raz na miesiąc, czy rzadziej chyba, Leon jej robił

wrażenie lwa, którego ona zamykała w jedwabnej,
różnokolorowej siatce. Lwa barwy
bawiły, złote nici, którymi pospajane były różnobarwne
sznury, ale nagle się
rzucił, łapą, uderzył i pomotał jedwabne nitki — ciasno mu
było! lew wybiegał... ale to był sen tylko
i to sen w gorączce miłości.

To sen! najśroźszy lew, najdzikszy, dałby się ujarzmić,
opanować przez Minii.

Płynęły dni, miesiące, które niczem innym nie byty, tylko
urzeczywistnieniem,

jak w panoramie, obrazów mai zeń bujnej, niezepsutej,
nieskalanej i

nierozczarowanej imaginacji, wypieszczonej Litwinki.

Mimi, to było chodzące szczęście, słońce pogodnego dnia
majowego, które

brylantami pokrywa, świeżo przez noc wyrosłe, trawniki i
drzewa.

Jański mówił, że w maju chmura jest rzadką, ale gdy się
pojawi, to jest straszną
i ciemną.

Hrabina Sicińska, spełniła swe zadanie. Przypatrzwszy się
szczęściu swego

jedynaka, którego widzieć dobrym mężem, było jej
marzeniem, wyjechała do Paryża,
gdzie stale się osiedliła.

Leona miejsce było w Polsce, w Warszawie!

"Jakże jestem szczęśliwą — pisała do księżnej Konstautowej.

— Bałam się, by

nawet dobroć i piękność Mimi, nie zdołały ujarzmić,
udobruchać tej natury

samodzielnej, bujnej despotycznej, po ojcu zresztą
odziedziczonej... "

Karnawał się zaczął.
U Mimi co czwartek wieczór tańczący.
Książę Borys żadnego nie opuszczał.
Pewną sensacye w mieście i w salonach zrobiło przybycie
pani Nouny, słynnej
europejskiej artystki dramatycznej, która pod tym
pseudonimem znaną była w świecie artystycznym.
Towarzystwo nie opuszczało żadnego przedstawienia tej
znakomitości, która
czarując na scenie, czarowała podobno i po za sceną.
Echa dochodziły, nie echa, lecz wiadomości głośnie i
przebrzmiały o ofiarach
pięknej Nouny.
Jakiś markiz paryski straciwszy wszystko dla niej, w łeb sobie
strzelił, książę
ruski zwaryował, hrabia polski się skompromitował, nie licząc
tuzinów innych,
których miłość dla Nouny mniej głośnie miała rozwiązanie.
Baron Iziński, który
tak niegodziwie opuścił swą żonę, szalał za nią przez lat trzy
w Paryżu, gdy
pani de Bemar wyjechała do Ameryki.
I tylu innych.
Wieści te zaniepokoiły niektóre Warszawianki. Wnet się
jednak uspokoily,
zmiarkowawszy, że artystka chyba na miliony poluje, których
w Polsce nie było.
Mimi była spokojną. Dla Mimi Nouna była aktorka, nie
kobietą, tak, jak dla tej
księżnej ruskiej, murzyn nie był mężczyzną.
Tymczasem Iziński zaopatrzył artystkę w listy polecające i jak
mógł, robił jej w
Polsce reklamę.

Z początkiem postu, miała opuścić Warszawę i udać się do Kijowa, Petersburga, Moskwy, by powrócić na Lwów, Kraków, Wiedeń do Paryża, gdzie na zimę za bajeczną sumę, była już zaangażowana. Nouna była znakomitą artystką, ale była też i genialną kobietą, wykształconą, władającą wszystkimi europejskimi językami, malującą i piszącą.

W kraju towarzystwo nie przyjęło było zwyczaju, bicia czołem przed talentem, zapominając o osobie, nim obdarzonej. Choć geniusz Nouny był nadzwyczajny, był jeszcze za maty, by jej salony polskie otworzyły swe podwoje, przebacząc wybryki jej, jako kobiety.

Nie myślano nawet, nie przypuszczano, by Nounie miały się otworzyć podwoje salonów Warszawskich.

W tem, pewnego czwartku, rano rozeszła się wieść, że artystka wieczorem będzie u hrabstwa Sicińskich.

Quelle idée!

Otóż nowa fantazya! nowa oryginalność!

Leon chciałby nam narzucić nowe zwyczaje.

Il n'a qu'à le faire seul!

Tegoż dnia jeszcze, potoczyła się kaskada uwag, wyrażających jednomyślne oburzenie.

Nie przeszkodziło to jednak, że w wieczór, tłumy zgromadziły się w salonach

Mimi, która stała w pierwszym salonie z Nouną, przy boku.

I Mimi! Mimi prezentowała damy polskie Nounie, prezentując ją, tylko matronom.

Tego było za wiele!
Sycińscy! to nie dwór!
Quel genre!
C'est par trop fort! Najniesłychańsze oburzenie!!
Leon się uśmiechał, pokazał co może jego odwaga i pewność
siebie, jego
pozycja! Żadna z czerwonych od złości dam, nie śmiała zrobić
mu uwagi.
Ograniczały się na iskrach, jakie rzucały, a on z właściwą
sobie arrogancją,
kazał admiirować zapamiętałym arystokratkom i damom à
cheval sur la vertu,
geniusz, piękność, takt, postawę królewską Nouny.
Leon nadużywał swej wszechwładnej pozycji.
Księżna Borysowa, którą Mimi niezawodnie już przez
roztargnienie zaprezentowała
aktorze, wystąpiła głośno, bo natychmiast opuściła salon ze
synem, nie podawszy
ręki Nounie przy prezentacji.
Mimi się zmięszała, ale Mimi była cudzoziemką w swym
salonie. Ona nie miała
pojęcia o tych światowych drobnostkach, które są w salonie
rzeczami najwyższej
wagi.
Wyjście księżnej Borysowej wzburzonej, zrobiło wrażenie i
szmer się zrobił w
salonach, który znać uciszył hrabia swym ironicznym
uśmiechem, spojrzeniem
despoty, które wołało:
— Spróbujcie mi rzucić rękawicę!
Za przykładem księżnej, podobno nikt nie poszedł.
Na drugi dzień Borys, w klubie głośno, w sposób dowcipny,
żartował z wieczoru

wczorajszego. Świat jest dziwny. Nouna nietylko u hrabiów Sicińskich się pojawiła. Deklamowała później, grała w różnych salonach.

Jański pokazywał bilet. Comtesse Rawska prosi Pana na herbatę futro. — Nouna będzie deklamować. Tak mijał karnawał.

Tradycyjnie ostatni wtorek odbyć się miał u ordynatów. Równocześnie dyrektor teatru, któremu ordynat podobno gdzieś tam, uchybił, zapowiedział w salach teatralnych na ostatni wtorek, bal artystyczny na cześć Nouny.

Bano się, by bal ten nie odebrał salonowi ordynatowej, młodzieży.

Zapowiedziane te wieczory miały w sobie zaród, cień intrygi, mówiono więc o nich.

Hrabia Leon protegował sztukę, teatr, był bardzo dobrze z dyrektorem, także rodzaj oryginalności.

Widziano w tem palec Sicińskiego. Co gorzej, że w ostatnich dniach karnawału szeptano, opowiadano w mniejszych kółkach, radzono nad hrabia Leonem, względnie do artystki.

— Bóg wie, co za plotki! — Wzdychała księżna Borysowa. — Cette pauvre Mimi! Byłam wczoraj u jubilera, pokazywał mi zegarek w orzechu, którego dwie łupiny były z dwu brylantów jakiej wody!!

— Cóż to?

— Hrabia Leon obstałował dla Nouny, kosztuje dwadzieścia tysięcy rubli.

Procesy chodzą do jubilera, który każdemu w sekrecie pono pokazywał.

— Ale proszę, gdyby się hrabia dowiedział...

— Ach panie...

Hrabina pisała do księżnej Konstantowej:

"Dochodzą mnie wieści niepokojące a propos Nouny. Zlituj się, napisz zaraz, czy jest w tem co prawdy? — umieram z niepokoju..."

Mimi jednak była tą samą różą, rozwijającą się przy sprzyjających

okolicznościach. Oczy mówiące: "kocham cię nad życie, ubóstwiam," zawsze to samo

mówiły Leonowi. A dla świata, wesołość. Nigdy wejrzenie zazdrości, nigdy bladość

zdradzająca przeczucie, nigdy zaciśnięcie ust, dowód niepokoju, niepewności,

trwogi, nie dały się spostrzedz na tej rozpromienionej twarzy.

Swoboda ptaka ułaskawionego, niczem była w porównaniu ze swobodą tej kobiety.

Iluzje, nadzieje, marzenia, żyły, poruszały to złote serce.

Gdzież ten, któryby ją rozczarował?

Czyżby się znalazł? Widząc, możeby nie uwierzyła? Świat taki piękny, a w kółku, w którym się ona obracała, dał jej najlepszą część.

Mimi nie wierzyła w złe, nie wiedziała co to jest, nie przypuszczała go. Śmierć,

choroba, katastrofa jak np. powódź, pożar, były znanymi jej nieszczęściami.

Zaśmiała by się w oczy każdemu, ktoby jej chciał wytłumaczyć, że są inne, często

zamknięte w uperfumowanym budoirze, na perskim dywanie, za atlasową kotarą,

stokroć gorsze!* * *Mimi tańczyła kotyliona z księciem Borysem w ostatni wtorek.

— Karnawał się kończy — westchnęła.

— Chwała Bogu!

— Jakto! dlaczego?

— Bo by połowa naszych pięknych mężatek wyszła z zazdrości, z trwogi.

— Jakto?

— Nie widzi pani, jaki niepokój maluje się na obliczach żon, kochających swych mężów, naprzykład...

— Jakto? dlaczego?

— No Nouna! dla niej dziś bal w sali teatralnej. Połowa mężczyzn już tam jest,

druga się uda po dwunastej. — Tam będą tańczyć?

— Tam nie obserwują popielca.

— Impossible!

— No, ale dzięki Bogu Nouna wyjeżdża...

— Wyjeżdża?

— Widzi pan, jak księżna Konstant owa chodzi za mężem, a tam pani Rawska

wyraźnie za frak trzyma swojego... Gdyby niejedna widziała dziś swego małżonka

na balu dla Nouny, kto wie, czyby jutrzejszy dzień u ogniska domowego tak

spokojnie jak dzisiejszy minął.

— Żeby to można widzieć!

— Nic łatwiejszego. Na ogromną galeryę wstęp bardzo łatwy i tłumy będą.

Mimi się zamyśliła.

Przybliżył się hrabia, z mantylką, kotylion się kończył. Książę wstał

uśmiechając się ironicznie i tak okropnie, że Leon mimowoli zadrżał.

Ordynat starym dawnym zwyczajem pokazywał różgę; muzyka urwała...

Popielec!* * *— Spij dobrze, Mimi.

— Wychodzisz?

— Idę na chwilkę do klubu. — Nie chodź dzisiaj odparła i rzuciła się w objęcia Leona.

— Muszę, niedługo wrócę, dobranoc Mimi. — Uściskał kobietę, wycalował i

wyszedł. Łza stanęła w oku Mimi. Zerwała się z kanapy, na której ją zostawił

Leon. — Zadzwoń.

Panna służąca wniosła biały jedwabny szlafrok. Podaj mi czarny kostium,

kapelusz, prędko! — mówiła Mimi — i sama się ubierz.

Służąca wytrzeszczyła oczy.

— No, prędko, Franiu! wyjdziemy razem, pójdziemy, nie pojedziemy — mówiła

gorączkowo — na galerye balu w teatrze.

— A wiem!

— Jakto, wiesz gdzie, jak się wchodzi?

— Wiem.

— No, to każ zajechać, zapewne jeszcze nie wyprzegł, lub wróci, odwiózłszy pana

hrabiego.

To mówiąc, już zarzucała ubranie, kładła kapelusz...

Frانيا wybiegła, pojawiła się wkrótce całkiem gotowa.

— Karetę już czekała.

— Chodźmy.

Mimi, czyby ją kto przypuszczał zdolna do takiej eskapady?

— siedziała w coupe

które silnym kłusem dążyło w stronę teatru.

Już były u wejścia na galerye sali.

Mimi spuściła woal. Frania szła naprzód.

Przy drzwiach stał lokaj.

— Wstęp wzbroniony! — zawołał. Mimi struchlała.

— Jako?

— Panowie zażądali... — dodał lokaj. Panna służąca coś mu szepnęła cicho.

— A! zawołał lokaj — proszę.

— Uchylił drzwi galeryi, na której może najwięcej ze dwadzieścia osób się

znajdowało, które droga protekcyi uzyskały wejście.

Frانيا coś wsunęła w rękę lokajowi, który w najlepszem miejscu umieścił kobiety,

i wycofał się.

Mimi patrzała.

Bal teatralny, aktorski. Co za ruchy, śmiechy, swoboda. Niby świat, a nie świat.

Mężczyźni jednakże ci sami prawie wszyscy, co byli u ordynatów.

W głowie Mimi szumiało. — Kotylion w sali się zaczynał.

Nouna przepyszna,

imponująca, stała naprzeciw niej prawie.

Kotylion! wołano.

Hrabia Leon przybiegł do Nouny. Siciński, ten Apollo, który na kobiety zaledwie

patrzył, a rzadko którą, obdarzył uśmiechem, dziś

rozpromieniony, wesoły, jakby

pijany, objął kibić artystki, on, który nie tańczył. Coś do ucha szeptał, porwał

ją i ze trzy razy obtańczył dokoła ogromną salę... Co się

działo w głowie, sercu Minii, patrzącej na to z góry, żadne nie jest w

stanie opisać pióro.

Leon po trzech tańcach, w których dał dowód, jak, ale jak
tańczy? stanął z
artystką na środku sali.
Figura kotyliona.
Ktoś wręczył artystce jabłko. Tańczący wokoło niej się
zgrupowali, ona jabłko
do góry rzuciła, wszyscy podskoczyli, Leon uchwycił i znów
porwał Noumę,
obtańczył jeszcze trzy razy, w obrocie walca danserkę swą
rzucił na fotel, sam
prawie przyklęknął, skłonił się i dwa razy, Noumę z
entuzjazmem, z ogniem w oku,
w rękę pocałował.
Borys oparty o ścianę rozglądał się po galerii.
Więcej Mimi nie widziała, westchnęła, — zemdląca.* * *O
piątej rano tej nocy jeszcze Mimi leżała w strasznej gorączce
w swym pokoju.
Leon wszedł, dowiedziawszy się już o wszystkim.
Zastał zgromadzonych doktorów.
Miał usta zaciśnięte, oczy iskrzące — Usiadł przy przy łóżku
Mimi.
Kobieta była w gorączce. Słowa jednakże "Leon", "Borys",
wyraźnie prawie
wymawiała. O godzinie siódmej doktorzy skonstatowali
uderzenie na mózg i serce.
O godzinie dziewiątej usnęła.
O dziesiątej kryzys.
O jedenastej, przymykając oczy, dotąd wlepione w męża,
który jej rękę trzymał,
westchnęła trochę dłużej, boleśniej — umarła.
Wstał Leon, jęknął. Ale było to zawycie lwa zranionego; łza
nie spłynęła po
marmurowym obliczu, choć zabłyszczał w oku.

Nikt nie wystąpił ze słowem pociechy, któraby była parodią.
"Wybiegł jak zranione dzikie zwierzę, dopadł fiakra, kazał się
wieść do

Jańskiego.

Nie było go w domu.

Kazał się wieść do klubu. Straszne robił wrażenie ten
człowiek, gdy mijał salony
klubowe, gdzie goście się rozstępowali, nie rozumiejąc co go
tu sprowadza w tej
chwili.

W czwartym salonie książę Borys grał w bilard z
Międzyborskim.

Hrabia stanął przed nim.

Borys zacierał kredą kij bilardowy, zbladł, lecz stał
nieruchomy.

Cisza panowała w sali.

Leon uderzył w twarz Borysa.

Książę zaciskając pięści, cofnął się; kij, kreda z rąk wyleciały.

Hrabia obrócił się do zgromadzonych i osłupiałych.

— Panowie! są chwile, w których tylko taka satysfakcją może
wystarczyć —

zaryczał i wybiegł z klubu.

Rozbiegły się telegramy na Litwę, do Paryża.

W mieście równocześnie z pogłoską o chorobie Minii,
rozchodziła się wieść o jej
śmierci.

Umarła jak delikatna roślina, w cieplarni wyhodowana, ginie
owiana choćby raz

powietrzem na naszej ziemi, wietrzykiem nawet
południowym.

Mimi nie żyła!* * *Na trzeci dzień odbył się pogrzeb. Cała
Warszawa odprowadzała zwłoki tej
naziemskiej istoty.

Hrabia, jak posąg, prowadził matkę, złamana nieszczęściem,
zmęczoną podróżą.

Wracali w jednej karecie.

Słowa nie zamienili.

Czuła matka, że lew był zraniony, śmiertelnie może.

Wieczorem Warszawa, salony ochłonęły. Zaczęto zbierać w
całość wypadki ostatnich

dni trzech, układać obraz.

W tem, jakby piorun, który lubi po piorunie uderzać, grucha
wiadomość,

pograżająca drugą połowę towarzystwa w żałobę. Książę

Borys, tego samego dnia popołudniu, zginął w pojedynku z
hrabią

Sicińskim.* * *Na drugi dzień rano, władza w towarzystwie
zbrojnych, wchodziła do pałacu

hrabiów Sicińskich.

W wielkim przedsionku, jeszcze stał kuferek i połamane
świece w swych

kolosalnych lichtarzach.

W imieniu cesarza hrabia Leon Siciński — zawołał pierwszy z
wchodzących —

zaaresztowany!!!

— Pan hrabia wyjechał wczoraj wieczór za granicę —
odpowiedział spokojnie

służący.

HRABIA LEON SICIŃSKI.

"Omne cadit sub ictu."Hrabia Siciński, po zabiciu w

pojedynku księcia Borysa w roku, po tem

straszmem przedstawieniu dramatycznym, które w trzech
dniach dał w Warszawie,

wyjechał do Paryża. Tu otrzymał wyrok, skazujący go na trzy
lata więzienia.

Osiadł więc w Paryżu.

W kraju wrzały przeciw niemu różne namiętności i zawiści.
Ten lew zraniony, niestety nie śmiertelnie, potrzebował
zapomnieć, bo

wspomnienie tych trzech dni było straszne, rozogniało ranę.
Ta dumna, magnacka natura, nie mogła się czuć winną bez
straszego bólu!

Jak zapomnieć?

Przy zielonym stoliku, butelka szampana i garść złota przed
nim, łagodziły

cierpienie. A gdy mu przed oczami stawała Mimi, on sam w
Warszawie, on sam, tylko o kilka

lat młodszy, jego ś. p. matka, która z niego może była
dumniejszą, niż z dziada

— króla! gdy mu w pamięci przesunęły się figury karnawału
Warszawskiego roku ,

wypijał kielich szampana i wołał "banko."

Obraz znikał!

Znikał z uszczerbkiem tej kolosalnej fortuny, której jeszcze
resztki świeciły.

W roku w zimie, siedział za zielonym stolikiem w pierwszym
klubie paryskim.

Jakże się zmienił!

Posągowi Apollina Belwederskiego odejm ten uśmiech
namiętny, jego oko trochę

przymknij, głowę mu trochę pochyl, a nie będziesz miał
pierwowzoru piękności

męskiej.

Był już nerwowy, szorstki, czoło się zmarszczyło, w złotych
włosach widniały już

siwe, na twarzy brązowe rysy się rozlewały.

A przecież Leon był tylko o sześć lat starszym, liczył lat
trzydzieści i trzy.

Znać przesunęła mu się jego mara w pamięci, bo porywając
kielich, zawołać chciał

"banko," gdy lokaj położył przy nim telegram.

Rozerwał kopertę.

Jański donosił: "najwyższego ukazu po śmierci monarchy,
paragraf jedenasty,

pozwała ci bezpiecznie wrócić do kraju — nie zwlekaj." Wstał

i garść złota wsunął do kieszeni, przeprosił grających i

wyszedł.* * *W cztery dni potem stanął w Warszawie.

Pałacowa służba zaledwie go poznała.

Przybiegł Jański i zalał się łzami, ściskając swego, można
powiedzieć,

wychowanka.

Zrobił się ruch w pałacu, ruch adwokatów, notaryuszów,

urzędników. Przedstawiano

hrabiemu opłakane, w zamięcie pogrążone interesa.

On je sam tak pogrążył!

Fedeikomis rozwiązany, dobra w Królestwie rozcząstkowane
pod sekwestrem, w

bankach zamiast kapitałów długi, nierząd, bezład, kolosalne
kradzieże i rubryki

rozchodowe.

Lasy nad Wisłą wycinano.

— Co? — zawołał bezprzytomnie prawie, słuchając tych
wiadomości hrabia.

— Sprzedaż za granicę...

— Nie dałem tego polecenia, nic o ten nie wiem. I tak
wszystko.

Straszne męki przechodziła ta dumna i szlachetna dusza.

Powracać do kraju

zrujnowanym, skompromitowanym, znienawidzonym, w
którym się sześć lat temu

panowało, w tak odmiennych warunkach. Wyjeżdżając, za pierwszego w kraju się może i słusznie uważał, dziś widział się

podciągniętym pod normę większości.

Aureola, którą się otoczył, zgasła. Zapomniano jego wpływu i znaczenia. Fortuna się rozpadła.

I to w tak krótkim czasie, zdawałoby się, podczas jednej nocy, przy jednej

butelce, przy jednym stoliku.

Czemuż go Warszawa nie wita? czyżby zapomniała

Sicińskich, którzy nią trzęśli?

W głowie mu się mąciło!

— Zlitujcie się, dajcie mi pokój — wołał do adwokatów, plenipotentów, Jańskiego

— bo zwarzuję!

Leon Siciński, syn hrabiny nieboszczki, Leon! bez otoczenia, bez dworu,

złożonego z polskich panów, bez admiratorów, Leon w długach, w interesach, to anomalia!

Człowiek z którym niedawno dwór się rachował i władze, którego słowo

wypowiedziane w klubie, przy bilardzie, miało znaczenie polityczne lub socyalne,

człowiek ten zmuszony radzić z zarządem swych dóbr nad reformą, zmuszony układać

się z wierzycielami — to przechodziło jego siły, jego wyobraźnię. Śmierć raczej,

niż upadek!

Jańskiego, stan ten hrabiego, zresztą zrozumiały, przestraszył.

Chcieć oprawić obraz mistrza, wyjęty z ram rzeźbionych, wiszący na adamaszkowej

ścianie, chcieć obraz ten oprawić w tuzinkowe ramy, to zbrodnia. Raczej go zwinąć i niech na strychu czeka lepszych czasów.

Hrabiemu, który lat temu sześć, czy ośm, przy czarnej kawie, jednym

pociągnięciem pióra, zakładał bank Blanka, dziś kazać w tymże banku żebrać

kredytu?

Czyż to możebne?

Jański to zrozumiał i zgrabnie usunął od Leona wszystkie interesa.

Pewnego wieczora po obiedzie zagadnął.

— Może pójdziemy dziś do ordynatów, wielkie zebranie?...

— Chodźmy!

Poszli. Zaledwie jednakże weszli, a Leon zbliżył się do Jańskiego.

— Wyjdźmy! I wyszli.

— Cóż się stało? Hrabia znalazł się między obcymi, sześć lat zmieniły

towarzystwo. Znalazł się w salonie, gdzie niedawno jeszcze, ile ócz było, tyle

ócz patrzyło, co Siciński robi, a dziś, widział tylko pytających: kto to?

— To ten, ten sławny... ten...

— Gdzież księstwo Konstantowie?

— Na wsi, od lat trzech.

— Gdzież hrabina Rawska?

— Wydawszy córkę zamąż, która już także zniknęła z horyzontu — wycofała się ze

świata. — A gdzież hrabiny, księżne, ciotki?

— Poumieraly, postarzały, poznikały...

— Gdzież Borysowie?

— Zapomniano o nich.

— Któż zajmuje pozycją, hrabiny Sicińskiej, jego matki?
jakaś pani Milska, zkad?

Jakiem prawem?

— Któż został?

Ordynatowie i Janowie... to farsa! to dobre żarty... Dla
Sicińskiego nie ma
miejsca w tym nowym salonie.

— Cóż się stało Leonowi? — pytała na drugi dzień Jańskiego,
ordynatowa.

— Ah! pani znasz Leona, czyż może być gdzieś nie
pierwszym, gdy nim był od
kolebki?

— Więc cóż będzie?

— Co będzie? Astronomowie mówią, że gdy słońce świecić
przestanie, to znaczy, że
się w pył obróciło.

— Więc?

— Trzeba, by świeciło.

— No?

— Trzeba go ożenić.

— Nie jego.

— Próbujmy!

— Najchętniej, ale to będą trudne swaty, co?

— I bardzo trudne.

— Czy pan masz co na myśli?

— Pani należysz do przyjaciół Sicińskich, Jej mogę się
zwierzyć... — Śmiało! bardzo lubiłam tę dumną, naturę
Leona, który jest może ostatnim z
pewnego rodzaju polskich panów. Szkoda by ta rasa zginęła.

— A zaginie, bo Leon jest w stanie najniżej upaść, jeżeli nie
odzyska swej
pozycji...

— Czyżby?

— Leon już zrujnowany!
— Niepodobna?
— Resztki pańskiej fortuny...
— Jak mówi przysłowie?
— Tak, ale te resztki są w rękach człowieka, — znasz go pani,
— który tutaj w
tym salonie, gdyś pani obejmowała prezesostwo towarzystwa
Dobroczyńności...
— A pamiętam! jakby papierosy wyjął dziesięć tysięcy rubli.
— No...
— A myśl pana?
— Księżniczka Marya!
— Hm..?
— Wątpi pani, że może między temi rodzinami antagonizm?
— Nie to... że brzydka i to bardzo brzydka...
— Przypuszczam, że się Leon wyszumiał... że...
— Ah! panie Jański... Leon... Siciński... to hetmańska krew...
sam sobie pan
przeczysz. Jański się zamyślił.
— Probujemy! westchnęła ordynatowa. * * * Jański wyszedłszy
od ordynatowej, podążył do urzędu telegraficznego.
Siadł przy stoliku, na którym leżały blankiety. — Długo
myślał, nareszcie wziął
pióro do ręki. Pisał. "Sulimierz, Książę Konstanty Sulima —
Leon wrócił — Z
ordynatową będziemy próbować — trzeba, by przyjechała,
karnawał. — Jański."
Oddawszy telegram urzędnikowi z właściwą sobie flegmą,
która go przecież raz,
gdy napadnięty został w nocy przez Wilskiego, opuściła,
podążył do klubu, gdzie
się spodziewał zastać Leona.
Nie zastał go tutaj!

Więc udał się do pałacu Sicińskich.

Zastał hrabiego pogrążonego w kompletnej melancholii.

— Zlituj się, odżyj! — zawołał Jański.

— Czyż to możebne? Warszawa, to nie Warszawa.

Zapomniano o mnie, pogrzebano
mnie...

— Żarty! pokaż się tylko. Wyjedź twymi tarantami na

Krakowskie, a uliczniki

zawołają, "hrabia Leon." Pokaż się w twej loży, a kłaśnięciem
w ręce, zrobisz

szczęśliwą, stworzysz talent! Zatańcz mazura u ordynatowej,
zadaj sobie dzień

pracy, a odzyskasz wszystko! Sicińskiego nie pogrzebie
siedem lat. Na to trzeba wieków, lecz gdy

Siciński sam się pogrzebie?... Leon się zaśmiał, a twarz jego
rozpromieniła się

tym właściwym jemu niegdyś wyrazem.

— Tak trzeba mówić! — pomyślał Jański i zachęcony dalej
ciągnął.

— Czyżby cię miało, nieszczęście wypadkiem sprowadzone,
na zawsze odebrać

społeczeństwu? Czyżby okoliczności, że masz mniej dębów w
tych lasach, lub żeś

przegrał parękroć sto tysięcy, miały cię przygnębić? Boże!
jeszcze pociągnięciem

pióra po papierze, możesz odzyskać coś stracił, jeszcze...

Tylko trzeba być

Sicińskim, nie jego cieniem!...

— Mówisz jak Napoleon mawiał do siebie — zaśmiał się
hrabia, ale te kilka słów,

dziwną zmianę zrobiły na jego obliczu.

Hrabia Leon! ten sam! powstał przed Jańskim, ten sam,
którego wzrok dominował,

ujarzmiał, podbijał.

Czy na długo?* * *W dziesięć dni po tej rozmowie hrabia Leon uchwycił berło, które dzierżył przed siedmiu laty.

Aureola zaczynała świecić około jego głowy, czar powracał wraz z tą pewnością siebie, która tyle może. Czar ten sam, chyba z tą różnicą, iż po człowieku, który minął lat trzydzieści, mniej się ludzie spodziewają, niż po tym, który ich nie doszedł.

Urok ten sam go otoczył, tylko, że los, fortuna, każdemu kilka razy podaje swą czarodziejską rękę, kilka razy tylko, a gdy ten jej nie ujął, lub wypuścił często więcej nie powraca.

A jakże trudno ująć, gdy ona tak dziwaczne przyjmuje kształty...

Jakże przytrzymać, gdy ona tak kapryśna, i często w obrocie polki ucieka.

Warszawa przypomniała sobie Leona...

Siciński, to ten, z powodu którego pani Z. wstąpiła do klasztoru.

To ten, któremu cesarz austriacki na prywatnej audyencji przedstawił swój plan polityczny. To ten, który trząsał teatrem, i ustalał sławę artystki, gdy jej rzucał bukiet z brylantem miasto kropli rosy.

To ten, którego pojawienie się na giełdzie, naznaczało ceny produktów i papierów.

To ten, który, gdy powiedział coś w klubie, coś politycznej treści, namiestnik donosił monarsze mówiąc: "Polacy mówią."

To ten sam, w którym się kochały "Warszawianki wszystkich światów.

Ten sam mąż Mimi! zabójca księcia Borysa.

Pozycja była odzyskaną! W świecie, w teatrze na ulicy, w urzędach pytano, co

robił dziś hrabia Leon. Na giełdzie Blank wołał, że hrabia zrujnowany ale tysiące mu odpowiadały:

"Resztki Sicińskich, to jeszcze największa fortuna w kraju."

Banki warszawskie odmówiły wypłaty weksli hrabiego. —

Zrobił się popłoch, gdy

nadszedł telegram, że te i dalsze, Rotschild w Wiedniu wypłaci.

Blank zadrzał, by go hrabia nie zrujnował, a miał mu powiedzieć w oczy

publicznie:

Jakem cię postawił panie Blank, tak cię obalę.

Pozycja była odzyskaną, a wydawała się świetniejszą.

Tak jak słońce, gdy choć popołudniu zajdzie za czarną chmurę na chwilę i gdy z

poza niej znów zabłyśniesz, razi i zdaje się jaśniejszem, a przecież ono się do

zachodu zbliża.

Tak stały rzeczy, gdy w salonach około połowy stycznia roku, rozeszła się

wieść, że przybyła księżna Jarosławowa Sulimina, z córką jedynaczką, której

posag leżał w dotąd nigdy niezliczonej i niezmierzonej liczbie włók ziemi.

Fortuna była bajeczną! O niej jednak nigdy nie mówiono, gdyż nigdy nie miała

reprezentanta. Właściciel jej stary książę siedział w Paryżu, a opowiadano o nim

tylko anegdoty.

Miał raz jechać do kraju na sezon polowania.

W Kijowie czekał, gdyż pociąg; towarowy, nieskończenie długi przejeżdżał przez stację.

— Zkąd to pociąg? — zapytał. — Z Rosyi!

— Co wiezie?

— Pszenicę.

— Pszenicę? hm! hm!

— I to z jednego klucza, z jednego Perisławskiego majątku.

— Hm! hm!... a do kogóż należy ten klucz Perisławski?

— Do księcia Sulimy.

— Hm! hm! bogaty człowiek. — mruknął. Zamyślił się, potem dopiero zaśmiał, przypomniawszy sobie, że to nie kto inny, tylko on, był tych dóbr właścicielem.

— Dobrze musi stad administracya tego klucza — dodał, oddalając się od nieznajomego.

"Se non è vero è ben trovato. " W każdym razie faktem było, że książę nigdy swych dóbr w całości nie widział, a raz, gdy chciał się sam zająć interesami, zaczął od wytoczenia procesu granicznego sąsiadowi, którym był on sam.

Księżna nie myślała otwierać domu w "Warszawie. To ją męczyło i kosztowało, bo ludzie im bogatsi, tem odpowiednio mniejsze mają dochody, co widząc, dziwnie się robią oszczędnymi.

Oszczędnymi może z konieczności nieraz, gdyż, gdyby sami dużo wydawali, toby już

wydawać tyle nie mogli plenipotenci i rządcy ich, a ci więcej zwykle wydają. — Księżniczka Marya, pojawiła się w świecie. Niska, bez figury, brunetka, na twarzy otyła, jednym słowem brzydka... W wyrazie jej twarzy nie było nie życia,

uśmiech miała pospolity. Postać ta codzienna, była przygnębiona brakiem sukcesu,

który jest jedynym, prawdziwym żywiołem kobiet.

W salonie nie byłaby otoczona, chyba tym rojem panien, lubiących się ocierać o

tytuły książęce, lub kilkoma mężczyznami, by na drugi dzień mogli powiedzieć

"księżniczka mi mówiła. "

Księżniczka nie przedstawiała żadnego interesu. Zbyt bowiem była wielką partya,

by się komuś małżeństwo roilo. Należała do tej kategorii panien, które w kolebce

powinny mieć narzeczonego.

I ona go miała.

A tym był hrabia Leon, który jednakże niestety w chwili, gdy księżniczka miała

rok ośmnasty i gdy familia zaczynała nad tem pracować, ożenił się z cudowną

Mimi.

Przestraszeni Sulimowie zaczęli zastępcy szukać w kraju, robiąc wielkie

ustępstwa. Zdecydowali się nawet na Wilskiego, który jednakże o tem słyszeć nie

chciał i ożenił się z prześliczną Ewcią.

Księżniczka Marya, miała zostać starą panną.

Stara księżna przewertowała almanach Grotha, podobno nawet spisy uczniów, w

różnych szkołach i uniwersytetach, ale nie znalazła godnego.

Wypadek tylko mógł tu poradzić i przyjść w pomoc. Mimi umarła, ale cóż z tego, kiedy hrabia Leon musiał emigrować. Księżniczka miała lat dwadzieścia i pięć i zdecydowaną była cierpliwie i z

rezygnacją znosić swój los paniński z boleścią dla matki, która przecież wołała

niedoczekać się wnuka, niż wydać nieodpowiednio córkę.

W tem przyszedł pewnego poranku list od księcia

Konstantego, stryja, i tego

samego wieczora, ułożono wyjazd do Warszawy.* * *Pod

koniec karnawału hrabia znalazł się sam w salonie

ordynatowej.

— Hrabio! zbieram fundusz na pogorzalców — zagadnęła.

— Daję tysiąc rubli!

— Tysiąc rubli?

— Dałbym dziesięć może, temu lat ośm.

— "Więc robisz się skąpym?"

— Ograniczam się z konieczności.

— Quelle farse!

— Fakt! jestem napół zrujnowany.

— No, trzeba zrobić "un coup d'état."

— Ożenić się z księżniczką?! — zaśmiał się Leon.

— A co?

— Cóżby Pani, Pani sama, na to powiedziała? — Cobym powiedziała?... To, co w Petersburgu, moja dobra znajoma księżna

Roztopchin mawiała, gdy jej mówiono o małżeństwie syna.

— Co mawiała?

— "Que voulez-vous, gastronomi czasem abdykują z pasztecików, by módz z apetytem jeść resztę obiadu. "

— Więc to paszteciki! — zaśmiał się hrabia.

I na tem skończyła się ta rozmowa, mająca może wpływ rozstrzygający na życie Leona.

W kilka dni potem, Jański o niezwyklej godzinie zaanonsował się do ordynatowej.

— Leon przyjęty! — zawołał.

— Leon się oświadczył?

— Mówią, że przyjął...

— Chyba, bobym nie wierzyła, ale Leon... Siciński...

Jański przerwał.

— Rzecz podobno tak się miała, — bo jak pani wiesz — będąc przyjacielem Leona, od niego nic nie wiem. Ta dumna natura samodzielna, nie zwierza się i nie radzi.

Mały Mazarani podsłuchał rozmowę hrabiego z księżniczką.

On twierdził, że jest

złamanym, chorym, ona podejmowała się go wyleczyć. Hrabia miał się zapytać: "I

księżniczka byś się nie bała kaprysów, cierpień, nieprzyjemnego i zgryźliwego

charakteru chorego, jego zachcianek i dziwactw?"... "Nie" miała odpowiedzieć

drżącym głosem. To miało miejsce u Wilskich onegdaj, wczoraj książę Konstanty oświadczył Leona.

— Et caetera i cóż pan na to mówisz?

— Ja... sam nie wiem. Widziałem Leona dzisiaj,

powinszowałem mu, a moje życzenia

przyjął tak samo, jak je przyjmował temu lat ośm, gdy został przyjętym przez

ubóstwianą Wilpolską... Leona nigdy zrozumieć nie mogłem.

Niezaprzeczenie jest

to charakter ale złożony z tylu odcieni, ukryty pod taką ambicyą i dumą... ale

cóż pani na to mówi?

— Ja?... ja mówię, że po rozmowie, którą ten Jaro podsłuchał, małżeństwo to

zapiszemy do ksiąg zawartych kontraktów handlowych.

— Ale wiesz pani, że Leon dotąd nawet w interesach dawał tylko terminy i punkta, sam żadnych nie przyjmując...

— Wiem — westchnęła ordynatowa. * * *Dnia maja tegoż roku odbył się ślub hrabiego Leona z księżniczką Maryą. Intercyzę ślubną układał słynny adwokat Borski.

Dwie godzin podobno pisano wymianowanie folwarków należących do księżniczki,

podczas czego Leon wypalił dziesięć papierosów.

Adwokat obrócił się do hrabiego, czytając: "hrabia Leon Siciński, właściciel" ... Leon przerwał.

— Dostyc tyle, panie Borski.

Po ślubie wyjechali.* * *Następna zima zgromadziła znów naszych znajomych w Warszawie.

Przybył i Leon z żoną.

Leon siwiejący... zgryziony... chory!

Przybyła po dłuższej nieobecności w świecie i księżna

Borysowa jeszcze w

żałobie, po tragicznej śmierci ukochanego syna. Nie zdjęła jej nawet,

wprowadzając właśnie tego roku w świat swą córkę.

W czarnych koronkach i aksamitach, ta imponująca matrona, na pierwszym zebraniu

u ordynatowej, szukała wzrokiem zimnym, zemstę ziejącym, kogoś.

Szukała Sicińskich...

Obozy dwa przeczuły, odgadły w oczach księżnej, chęć zemsty.

Bano się tego spotkania, które nastąpić musiało.

Po jednej stronie lwica, której zabito małe, po drugiej lew, jeszcze zraniony.

Oba obozy się uradowały, gdy na wieczorze u Wilskich, hrabia Leon przeszedł

około księżnej i udał, że jej nie zna.

Księżna tylko poczerwieniała.

W kilka minut czy godzin potem, Leon siedział, rozmawiając z piękną Ewcią. Przechodziła księżna z ordynatową. Czy nie widziała, że o krok od niej, siedzi

Siciński, czy zrobiła to umyślnie? — niewiadomo. Dość, że głośno, wskazując

wzrokiem na hrabinę zagadnęła.

— Jakaż też brzydka ta Leonowa.

Ordynatowa chrząkała.

— Ten wasz półbożek fatalnie się sprzedał, — ciągnęła matrona.

Ordynatowa zbladła.

Ewcia się wachlowała.

Leon poczerwieniał; krew mu uderzyła do głowy, od zmysłów odchodził.

W godzinę, zauważono nieobecność Sicińskiego.

Hrabina Marya była niespokojną, tem więcej, iż złośliwa

Ewcia Wilska,

twierdziła, iż zasłabł.

Jański widząc niepokój hrabiny, ofiarował się dowiedzieć, gdzieby był Leon,

byleby Sicińska nie opuszczała balu.

Pojechał do pałacu.

Hrabia nie wrócił.

Pędził do klubu.

Szukał. W czwartym salonie, za zielonym stolikiem, z butelką szampana przed

sobą, czerwony, zgorączkowany, siedział hrabia i debankował bank Osimskiego.

Jański popatrzał i wrócił.

Pod koniec balu zbliżył się do ordynatowej i szeptał coś na ucho.

— Cos' zaszło... Siciński?... — Niestety... kochany panie... jutro panu opowiem... * * * Odtąd hrabia Leon, można powiedzieć, nie pokazywał się w świecie. Częściej widywano hrabinę, smutne wrażenie robiącą, przygnębianą i jakby jakieś wielkie zmartwienie ze sobą noszącą.

Hrabina Sicińska żyła jeszcze w stosunkach najpoufalszych z Ewcią Wilską.

Napozór te dwie kobiety, nie miały nic ze sobą wspólnego, bo jedna była brzydka, młoda, a prawie już matrona, mało światowa, a druga rozkoszna, śliczna, kokietka, przepadająca za zabawą i sukcesem.

Hrabina Wilska podobała się Leonowi. Powszechnie o tem mówiono.

Ordynatowa nawet twierdziła, że Sicińska tak dalece posuwa swe poświęcenie dla wyleczenia męża, rozerwania go, tak dalece, że to graniczy prawie z heroizmem.

Księżna Borysowa w czerni, robiła wrażenie, jakby jakiś krwawy dramat nosiła w kieszeni.

Ona, zwykle spokojna i łagodna, tej zimy nazwaną została przez złośliwych

"Lukrecją Borgia."

Hrabia Leon ulegał jakimś moralnym cierpieniom. Zmieniał się z dnia na dzień

oczy się zapadły i dziwnie błyszcząły. Na bladej, jednostajnej twarzy pojawiały się coraz częściej wypieczone rumieńce, w ruchach, w sposobie

mówienia, zachowania się, dawała się spostrzegać zmiana.

Cóżby to było?

Nikt nie śmiał spytać.

Przecież się nie starzał.

A w jego pozycyi, jakież straszne cierpienie może być niszczącym?

A co robił?

Czasem, widziano go jeszcze powożącego czwórka na

Krakowskiem. Często czarna

karetka stała przed mieszkaniem hrabstwa Wilskich,

najczęściej widziano go za

zielonym stolikiem w klubie.

Jańskiego to wszystko martwiło.

Pewnego wieczoru powróciła Marya dość wczesnie z balu.

Leona nie było w domu.

Zdejmowała swoje bransoletki, śliczne perły, z kieszeni

wyciągała koronkową

chustkę.

W chustce znalazła papierek.

Cóżby to było? Rozwinęła i czytała — "mąż twój u twej najlepszej przyjaciółki. "

Zbladła! — W gorączce czekała.

Za godzinę — już po północy — powrócił hrabia.

Marya zrobiła mu scenę zazdrości! pokazała anonim

roztoczyła żale, upokorzenia,

cierpienia... Hrabia słuchał, bawiąc się nerwowo papierkiem.

— Robisz mi scenę! — zawołał wreszcie swym donośnym

głosem, w którym drżały

podrażnione wszystkie namiętności — scenę zazdrości,

jakbym kiedykolwiek w szale

miłości obiecywał ci wierność... !

— Przy ołtarzu! — zawołała tym razem, już wychodząc z granic, których się dotąd

trzymała kobieta — przy ołtarzu przysięgłeś....

— Krzywoprzysięgłem, — zahuczał hrabia, wstając z fotelu i przysuwając się do

żony. — Pani o tem, lepiej niż ktokolwiek wiedziałaś.

Delikatność i rozum,

powinny były cię wstrzymać od tej sceny, a byłabyś siebie i mnie oszczędziła...

Uchwycił za klamkę: wychodził.

Marya w spazmach płakała.

— Ja kłamać nie umiera — zawołał jeszcze, zamykając drzwi za sobą.

Na drugi dzień i rano, Leon był o lat dziesięć starszy, uczył się chorym i

wezwał doktorów.

Marya zaś była taka sama: wchodziła w swą skorupę, mało kosztującego

poświęcenia.* * *Na wiosnę tego roku, hrabia Leon Siciński konał w swym pałacu.

Suchoty galopujące rozwinęły się, a on je podsycił

szampanem, wzruszeniami gry,

miłości, o którą go dla hrabiny Wiłskiej, posądzano.

Tak twierdził świat i doktorzy.

Jański, jedyny, nieopuszczający Leona w ostatnich czasach, milczał.

Hrabia leżał na sofie przy otwartem oknie, którem wchodziło świeże, upajające,

wiosenne powietrze.

W pokoju bawił Jański, książę Konstanty, i kilku przyjaciół.

Za drzwiami, w przyległym apartamencie, spokojnie sobie płakała Marya.

Na twarzy hrabiego malowała się śmierć, a na twarzach obecnych smutek, przygnębienie.
Drzwi się uchyliły; wszedł ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem.
Leon się uśmiechnął boleśnie, jakby ironicznie.
Obecni chcieli opuścić pokój.
Hrabia podniósł się na poduszkach, jakby z wysileniem, odetchnął ciężko.
— Nie wychodźcie! — zawołał swym zwałonym głosem, a obracając się do księdza
ciągnął: — Przysłali cię księżę, bym się wyspowiadał.... Moja spowiedź będzie
głośną. Jeden grzech mam tylko... Znasz księżę ten kwiatek, czy roślinę, co ma
miliony, cien- kich jak jedwabiu nitka, korzonków — znasz?...
Jeśli jedną z tych milionów nitek
podetniesz, to roślina ta natychmiast ginie... Ja miałem ten kwiatek...
podciąłem niechcący... lekkomyślnie.. ! Kwiatek... zginął... a
żał, wyrzuty...
zmarnowały mi życie... Mimi!.. Mimi...
Głowa opadła na poduszki. — Siciński wkrótce już nie żył.
BRYLANTY.
"Serce zgwałcone mści się strasznie". W kamienicy stojącej na Krakowskim Przedmieściu, datującej z ośmnastego wieku, w salonie pierwszego piętra zdobnym w rzeźby epoki Ludwika XVI, siedziały dwie kobiety: hrabina Lawska z córką Maryą.
Matka mogła liczyć lat czterdzieści. Musiała mieć około czterdziestu przez sam
wzgląd, że córka wyglądała na zupełnie dorosłą i rozwiniętą pannę.

Hrabina Lawska była niezaprzeczenie przystojną kobietą.
Mocna brunetka, miała
pełną twarz, dystyngowany wyraz i regularne rysy. Ramiona,
biust, figura zbyt
może były okrągłe, lecz jeszcze kształtne i przez dobrze
zrobioną suknię, w
karcach utrzymywane.
Oczy pełne wyrazu, przeblyskiwało jeszcze życie, które
hrabina musiała bardzo
lubić, bardzo rozumieć, lecz które już dobrze znała. Dla niej
ono nie miało już tych uroków, złudzeń i nadziei, które oczom
jej córki dodawały blasku,
ciekawości i ognia.
W oczach hrabiny malowało się znudzenie. Siedziała na
bujającym fotelu, paląc
małego, żółtego papierosa. Wolno się huśtała, małe puszczała
kłęby dymu, a każdy
nowy niebieski kłębek, ścigała swemi spokojnymi oczyma,
póki nie znikł na tle
lazurowego sufitu. Istny przedstawiała obraz kobiety, która lat
dwadzieścia
przeżyła w wielkim świecie, która dni spędzała, między
wizytą, balem i teatrem.
Tak i dziś żyła, ale już nie dla przyjemności, tylko z
przyzwyczajenia, które
przeszło w naturę.
O parę kroków, na niskim aksamitnym taburecie, siedziała
hrabianka Marya.
Była to brunetka śnieżnej białości, o czarnych dużych oczach,
z dziwnym blaskiem
i ogniem.
W tych oczach tkwiło coś ciekawego, niespokojnego,
niepewnego, coś, coby

przestraszało, lub przestraszać powinno męża, któryby się nie
czuł szalenie

kochanym, lub kochanka któryby nie kochał szalenie.

Kobiety rozmawiały.

Maryja przeglądała album, czyli udawała, że je przegląda, bo
przerzucała karty po

dwie, po cztery, a doszedłszy do końca, wracała by zatrzymać
się dłużej na

karcie, na której z pewnością nic nie widziała.

— Moja kochana Maryno! nie namawiam cię, nie zmuszam,
lecz tylko, jako matka —

mówiła hrabina — czuję się w obowiązku zwrócić twoją
uwagę na zalety, które ten

Breme przedstawia. W dzisiejszych czasach małżeństwo jest
po prostu interesem finansowym, światowym, osobistym,
towarzyskim, zawsze interesem. Nie każdy szczęśliwy pour y
mêler l'amour. W

twoich warunkach, dla ciebie, małżeństwo jest rzeczą nie
łatwą. Z tytułem, z

wychowaniem, z twojemi przyzwyczajeniami, możesz tylko
iść za człowieka

bogatego, a zdaje mi się, iż zauważyłaś już, jak ci bogaci
równi nam pod

względem towarzyskim, sięgają wyżej i chcą do milionów,
milionów, jeśli nie

mitry, lub nadzwyczajnych stosunków. Breme sam jest
jednym z tych. Za miliony

chce hrabianki, gdybyś nią nie była, toby się w tobie nie
kochał... wierzaj

mi...

— Ach! zupełnie rozumiem to wszystko — odrzekła Maryja
powoli, zatrzymując się na

karcie albumu — ale ten pan Breme jest jednym z tych, który,
robiąc nawet

ustępstwa, najmniej mi odpowiada...

— Jest — przerwała hrabina — doskonale wychowanym,
sympatycznym i bogatym...

— Me przeczę...

— Jest doskonałą partya, którejby żadna z twych przyjaciółek,
żadna z panien

naszego towarzystwa nie mająca posagu, nie odmówiła. Nie
zapatruj się na

księżniczkę Zofię, hrabiankę Izę, które bez majątku i mniej od
ciebie piękne, w

swojem kółku i dobrze powychodziły. One miały za sobą
stosunki, które czasem są

posagiem; miały za sobą szczęście, wypadek, który zawsze
jest wypadkiem.

— Zapewne... — odrzekła półgłosem hrabianka. — Trzeci rok
bywasz w świecie, jesteś otoczona, ubiegają się o taniec twój.
Wszędzie masz prawie pierwsze miejsce. W szeregach swoich
adoratów tego, lub

owego karnawału, widziałas nie jednego, któremu się bardzo
podoobałaś, który

tobie się podobał...

— Ach!...

— Każdy z nich wyglądał na starającego się, ale żaden się nie
oświadczył: dla

czego? Dla tego ma chérie, że albo sam się zreflektował, albo
ktoś jego, że może

zrobić lepszą, partyę. Dziś młody człowiek chcący zrobić jak
najlepszą partyę,

odwraca się od osoby, któraby mogła dojdzie do tej mety
opóźnić, lub stanąć na

zawadzie. On szuka partyi. W obec tego celu, milczą uczucia, sympatye; on staje

się często podłym, nikczemnym dla celu!

Marya gorączkowo przerzucała karty.

— Przypomnij sobie Międzyborskiego! — dodała hrabina — mógł się z tobą ożenić...

Nastało milczenie.

Dzwonek elektryczny dał się słyszeć w przedpokoju.

Wkrótce wszedł lokaj i odedrzwi zawołał:

— Pan Edmund Breme.

Marya spojrzała zdziwiona na matkę.

— Ach! — zawołała hrabina, zatrzymując huśtanie się fotela

— wszak dzisiaj ósmy

dzień, a ośm dni żądałaś do namysłu. A ja znów zapomniałam ci powiedzieć, iż z

baronem się umówiłam, że jeśli dziś pana Breme przyjmiemy, jest przyjęty, jeśli

nie — nie! — Czemuż mnie mama nie uprzedziła? —

zawołała Marya półgłosem, odkładając album.

— Nie chcąc żadnego na ciebie wywierać nacisku — odrzekła hrabina tonem czułym.

Lokaj nie odchodził.

— Więc pan Breme jest dobrą partyą? — zapytała Marya.

— Doskonałą! no, ale decyduj się, on czeka... Marya zaśmiała się nienaturalnie.

— Prosić! — zawołała do lokaja,

Hrabina wstała, strzepnęła z sukni popiół z cygaretki i wolno posuwała się ku

głównemu établissement w salonie.* * * "Kuryer Warszawski" dnia stycznia r., między wiadomościami bieżącemi pisał:

"Dziś w kościele PP. Wizytek odbył się ślub p. Edmunda Breme, jednego z

najbogatszych obywateli naszego miasta, z hrabianką Maryą
Lawską. Pan młody
podobno ofiarował jako prezent ślubny swej przyszłej żonie
przepyszne brylanty,
nabyte w Londynie po lordzie Doudley, za sto tysięcy rubli.
Inne ślubne podarki
miały być również piękne i kosztowne. Po odbytej ceremonii,
o godz. -ej w
wieczór, udał się orszak weselny na kolacją do hrabiny
Lawskiej. poczem państwo
młodzi wyjechali na Wiedeń za granicę". * * *Dnia stycznia
r. miał się odbyć w Warszawie bal na cele dobroczynne.
Zapowiadano zjazd. Cytowano nazwiska przybyłych dam,
baronową Izińską z Krakowa;
przewidywano wielką wystawę strojów, aksamitów, brylantów
i kamieni.
Wieczorem, ogromny ruch zapanował w mieście; jeździły
dorożki, które po większej
części unosiły modystki i fryzjerów; młodzieńca, który w
ostatniej chwili się
spozstrzegł, że nie ma krawatki; służącą, której pani pękła
rękawiczka, lub róża
wydała się zwiędnięta.
Za parę godzin miały stanąć pod bronią piękne damy i w
czarnej liberyi,
wykrochmaleni młodzieńcy.* * *Edmund Breme wszedłszy
do buduaru żony, zastał Maryę rozciągniętą na sofie i
czytającą romans.
Odłożyła książkę i swe oczy przed pięciu laty tak pełne życia,
ognia, blasku,
dziś spokojne ale iskrzące, zwróciła ze znakiem zapytania na
męża.

— Nie ubierasz się jeszcze? — zapytał zdziwiony Edmund. —
Czy już czas? — spytała kobieta.

— I wielki! a nie zapomnij, że dzisiejszy bal, to popis toalet,
kamieni, to
wasze pole...

— Ach!

— Włożysz twoje brylanty; nikt piękniejszych mieć nie
będzie, nawet Izińska, o
której cała Warszawa mówi...

— Moje brylanty? Nie mam zamiaru ich kłaść dzisiaj —
przerwała Marya.

— A! moja kochana, więc kiedyż je włożysz? Rok temu jak je
ostatnim razem
miałaś...

— Dziś włożę suknię aksamitną vert de mer... Brylanty będą
cudnie odbijać, jak
krople...

— Przeciwnie...

— Me spieraj się; zawsze masz kaprysy, zawsze chcesz zrobić
przeciwnie temu o co
cię proszę, lub co sobie życzę.

— Dziwi mnie, że taką drobnostką się zajmujesz...

— Niech cię dziwi, ale to mi robi przyjemność...

— Dzieciństwo...

— Niech będzie, ale w tem dzieciństwie znajduję
przyjemność.

Marya wstała — zadzwoniła.

— Ubieram się! — zawołała do męża, tonem zimnym, bez
uśmiechu nawet, gdy tenże
oddalając się, całował jej obie ręce.

— Więc włożysz — mówił od drzwi — i wszystkie, rywiera
na szyi, a te gwiazdy

mogą iść do dołu sukni. Nam białą kamelię, którą ci przypnę tym bukietem... — Jakież ty dziecko! — zawołała z półuśmiechem Marya, głosem wymuszonym, jakimś nienaturalnym, którego dźwięk jednak nie zastanowił męża. Drugimi drzwiami wchodziła panna służąca.* * *Marya była ubraną.

Zielona, koloru spokojnego morza, suknia aksamitna, ubrana koronkami białymi,

okrywała jej wysmukłą i zgrabną postać.

Na szyi rząd pereł widniał tylko.

Na lewym ramieniu szmaragd przytrzymał koronki.

Stała przed lustrem; służąca z kandelabrem w ręku układała fałdy.

— Już dosyć! — zawołała Marya — możesz odejść; — powiedz panu, że jestem gotowa.

— A brylanty?

— Na ostatku może poprzipinam... gdy pan przyjdzie — no idź...

Marya była blada jak alabaster, krokiem gorączkowym, nie uważając na ogromny i

ciężki ogon sukni, szybko chodziła po pokoju.

Porwała kluczyk leżący na toalecie... otworzyła nim szkatułkę leżącą na szafie

hebanowej. Zamyśliła się... oczy jej przybierały dziwny wyraz niepokoju... usta

zaciskała... zdawała się od zmysłów odchodzić. Nagle

pobiegła ku ścianie, na której wisiał sznur od dzwonka i tym silnie" lecz

spokojnie dwa razy szarpnęła...

Natychmiast uchylił drzwi lokaj...

— Pan!... natychmiast! — zawołała głośno.

W sekundę pojawił się Edmund wyprostowany w czerni i bieli...

Marya stała przy otwartej szkatule..

Edmund wchodził z półuśmiechem — który zniknął, gdy spostrzegł pomieszczenie żony.

— Cóż się stało? Jesteś blada...

— Ej nic! — wybełkotała Marya.

— I nie włożyłaś brylantów?

— Chciałam, lecz...

— Co?

— Niema ich, czy ty może?...

— Ja? co? co mówisz?...

— No patrz — szkatułka próżna...

— Żarty!...

Więc żarty — zawołała Marya tonem rozdrażnionym — przekonaj się...

Edmund porwał kandelabr, zajrzał do szkatuły, wsunął rękę, którą przerzucił kilka puzderek...

— Niema! — zawołał, obracając się do dziwnie spokojnej kobiety.

— Czyś je schował?

— Żartujesz! — zawołał wybuchając — wytłomacz mi... żarty nie na miejscu... — Ależ ja zupełnie nie żartuję; posłałam po ciebie służącą, a sama chciałam wyjąć brylanty...

— Więc skradziono?

— Nie wiem...

— Jakto? od kiedy? kiedy raz ostatni je widziałaś?...

— Gdy je raz ostatni miałam.

— Więc rok temu? — zawołał z przerażeniem Edmund.

— Rok! — powtórzyła Marya.

— To nie do uwierzenia! — zawołał, rzucając się na fotel Bremeę.

— Nie kochałam się nigdy w kosztownościach — odrzekła spokojnie Marya, chodząc po pokoju.

— To niesłychane! to bajeczne! — powtarzał Breme — Rok... rok temu... gdzieśmy przez ten czas byli... czy służba jaka się zmieniła?... stary Józef zawsze tu był... w lecie gdyśmy byli u wód... prawda... on tutaj został?... Marya milczała.

Edmund silnie zadzwonił.

We drzwiach pojawił się lokaj.

— Zawołać mi zaraz Józefa! — huknął Edmund.

— Odłóż śledztwo do jutra — zauważyła Marya.

— Tyś szalona! to sto tysięcy! — odrzekł Edmund, a obracając się do Józefa, który stał już przed panem:

— Pani skradziono brylanty! — krzyknął. Stary sługa zrobił minę zdziwioną, ruszając ramionami, nie mogąc wymówić słowa.

Edmund się wpatrywał w niego.

Milczenie przerywał tylko szelest sukni, chodzącej po pokoju, Maryi.

Zatrzymała się.

— Józefie — rzekła z dziwnym spokojem — każ zajechać...

Józef poszedł wypełnić rozkaz. Edmund rzucił się z fotelu ku Maryi.

— Ten spokój! ten spokój! — zawołał — czy myślisz jechać?

— Naturalnie — odrzekła kobieta, biorąc z toalety wachlarz i flakon z solą.

Edmund wybiegł.

W swoim pokoju porwał z biurka bilet i pisał gorączkowo ołówkiem:

"Skradziono mej żonie brylanty — zaaresztować całą służbę moją — jutro rano czekam pana; rzecz najwyższej wagi. Breme".
Włożył w kopertę i zaadresował, poczem zadzwonił.
— Podaj mi palto! — zawołał do lokaja wchodzącego — a list ten natychmiast do pana Borskiego — natychmiast!" W kilka minut karetka wyjeżdżała z pałacu, a wewnątrz rozbiegała się służba, wołając: "skradziono brylanty pani"; domysły, rady, szeptania, trwały do późnej nocy.* * * "Kuryer Warszawski" dnia stycznia r.:
"Słynne brylanty p. Maryi Breme zostały skradzione. Śledztwo w toku, sprawa oddana naszemu znakomitemu adwokatowi, Borskiemu. Cała służba p. Breme została natychmiast zaaresztowana. Szkoda wynosi sto tysięcy rubli. Niebawem będziemy mieli bliższe szczegóły".
Dnia lutego r.:
"Śledztwo w sprawie głośnej kradzieży brylantów w pałacu Bremowskim, ma się ku końcowi — a protokoły są bardzo ciekawej treści. Brylanty znajdowały się w szkatułce ogniotrwałej, leżącej w pokoju pani Breme, i z tejże, bez naruszenia zamku, zostały wyjęte. Kradzież miała miejsce w ciągu ostatniego roku, w ciągu którego stary sługa zostający lat trzydzieści w usługach rodziny Bremów, nie opuszczał apartamentów, które jego pieczy podczas lata zostały poruczone".. Zeznania świadków nie wyjaśniły bynajmniej strony ciemnej tej kradzieży, nie

mogły bliżej oznaczyć czasu popełnionego występku. Służba została uwolniona, pozostaje jednak pod nadzorem policyi".

Podejrzanie pada na nieskazitelnej przeszłości człowieka, służącego Józefa

Kałużckiego, który zgodnie ze zeznaniami świadków, nie opuszczał pałacu

Bremnowskiego przez cały czas, podczas którego kradzież została dokonana.

Pani Marya Bremę, która bardzo na tym procesie cierpi, nie opuszcza swego pokoju

i sędzia śledczy przesłuchuje ją w jej apartamentach".

Dnia marca r.:

"Otóż wczoraj zapadł wyrok w sprawie kradzieży

Bremowskich brylantów, która

według naszego zdania i większej części publiczności, nie jest wyjaśniona.

Na mocy zeznań świadków i różnych półdowodów, został uznany winnym Józef

Kałużcki, i sąd bez względu na nieskazitelną przeszłość siedmdziesięcioletniego

starca, skazał go na dziesięć lat ciężkiego więzienia. —

Smutne wrażenie

wynieśliśmy z izby sądowej, lecz mamy nadzieję, że wkrótce sprawa ta się

wyjaśni, gdyż jest niepodobnem, by tak znaczna kradzież mogła długo pozostać w

tajemnicy, którą dziś jest otoczona".

Niespełna rok mijał, jak wyrok zapadł w sprawie

Bremowskich brylantów. Żadne nowe odkrycia nie zmieniły położenia rzeczy, i stary Józef pozostawał w

więzieniu.

Marya była cierpiąca; defekt sercowy, jaki się wkrótce objawił po balu, na który ją wyjeżdżającą, ostatnim razem, widzieliśmy, rozwijał się powoli mimo nadzwyczajnych starań lekarzy.

Leżała na sofie w swoim pokoju; obok niej mąż wpatrujący się w tę bladą twarz, w te oczy przyćmione, niedawno jeszcze tak świetne, tak pełne ognia.

Edmund bawił ją opowiadaniem wiadomości bieżących, nowin ze świata i bruku.

Ona słuchała obojętnie.

O brylantach dawno zapomniano, a przed Maryą niewolno było potrącać o ten epizod, który — rzecz dziwna — sprowadzał natychmiast chwilowe i bolesne cierpienie serca.

Edmund po długich wysiłkach, wywołał uśmiech na oblicze ukochanej. Tem uradowany, dalej opowiadał jedną z zabawnych historii dnia.

Wtem wszedł lokaj z listem na tacy.

Bremę rozerwał kopertę i czytał cicho — oczami.

"Proszę pana przybyć natychmiast do mojej kancelaryi. Sprawa brylantów przybrała charakter tak niepokojący i niecierpiący zwłoki, iż widzenie się moje z panem jest jak najprędzej koniecznem. — Sługa, adwokat Borski".

Edmund schował list do kieszeni.

— Co to? — zapytała Marya. — Ej, nic! interes małej wagi, lecz pilny, wychodzę i zaraz wrócę; do widzenia Maryniu — mówił Breme spokojnie, wstając.* * *W pół godziny potem wchodził do salonu adwokata.

Borski zmieszany, trochę nienaturalny, zwrócił jego uwagę.

— Cóż nowego? — zapytał.

— Siadaj pan — odrzekł Borski, posuwając fotel, a sam udał się do drzwi, które uchyliwszy, zawołał do służącego:

— Dla wszystkich nie jestem w domu. Breme był zdziwiony tym niezwykłym sposobem zachowania się adwokata.

— Czuję coś niemiłego — zawołał. Adwokat usiadł.

— Czy pan masz silne nerwy? — zapytał?

— Doskonałe, ale... Borski przerwał.

— Czy pan rozumiesz, że... adwokat jest doktorem, że nieraz musi kaleczyć, otwierać, tworzyć ranę, by nie...

— Dopuszczać gangreny — dokończył Breme — rozumiem panie i proszę. — Nie wiem, ale przypuszczam, że mogę panu zadać cios moralny...

— Mów pan.

— Którego panu w żaden sposób oszczędzić nie mogę.

— Mów pan...

— Są rzeczy, których adwokat uczciwy zatajać nie może, dziś może będziesz mnie pan przeklinał, a gdybym zataił, możebyś pan i cała jego rodzina, wieczną do mnie miała urazę...

— Na miłość Boga, mów pan! — zawołał Edmund.

— Uzbrój się pan w całą siłę moralną, na jaką się zdobyć możesz — może panu powiem coś, czegoś się nie domyślał, coś niespodziewanego, a tu potrzeba całej przytomności i zimnej krwi z pańskiej strony.

— Mów pan... przygotowałeś mnie na wszystko, choć nie mam pojęcia, jakiego rodzaju nieszczęście mnie czeka.

Borski zbierał myśli, twarz schował w obie ręce. Nagle, jakby się otrząsając,
przysunął się do Edmunda, wyprostował na krześle i zaczął:
— Przed godziną na pańskim miejscu siedział zacny sędzia śledczy, którego śledztwo na Józefa wydało wyrok, rok temu. Siedział w charakterze człowieka prywatnego, czemu jedynie wiele możemy zawdzięczyć. Człowiek ten wobec nowych odkryć w sprawie brylantów, zapomniał że jest prześladowcą "winowajcy — i na chwilę uległ swym uczuciom człowieka, nie sędziego... Swoje opowiadanie zaczął od słów: "gdy jest coś niejasnego, szukaj w tem kobiety — przysłowie więcej niż prawdziwe... " Edmund zbladł jak alabaster.
— Pannie jesteś przygotowany! — zawołał Borski.
— Mów pan, mów, bez ogródki... wszak powiedziałeś, że musisz mi wszystko powiedzieć.
Nastąpiło milczenie — przerwał je adwokat.
— Więc mówię... przed kilku dniami, stary uwięziony sługa zażądał posłuchania, które mu zostało tego samego dnia udzielone. Przesłuchiwał go, na wielkie szczęście, nasz zacny sędzia... Józef przypomniał sobie, że w zimie roku zawołała go żona pańska i wręczyła duże pudełko opieczętowane, polecając mu nadzwyczajną baczność, przez wzgląd że zawiera cenny przedmiot i kazała zanieść pod adresem...
— Pod adresem?

— Pod adresem hrabiego Kirskiego.
— Hrabiego Kirskiego — powtórzył grobowym głosem Edmund.
— Kirskiego — ciągnął mecenas — z którym pani, jak twierdził uwięziony, utrzymywała zażyłe stosunki...
— Bywał w naszym domu — przerwał Breme — sam z nim dobrze byłem...
Uśmiech niedostrzegalny przebiegł po ustach Borskiego.
— Co więcej zeznał?
— Nic więcej.
— Więc to wszystko? — Zaczekaj pan.
Adwokat odetchnął i znów głowę w obie ręce schował.
Po chwili dalej zaczyna!:
— Sędzia w kilku dniach przeprowadził tajne śledztwo z pomocą swych urzędników, którego rezultat...
— Jest?
— Jest, widzę teraz dopiero, straszniejszy niż przypuszczałem! — zawołał Borski.
— Mów pan! — wybełkotał Edmund bezsilnym głosem.
— Józef odniósł brylanty...
— Brylanty?! — huknął Breme powstając.
— Prosiłem pana o zimną krew, którąś mi obiecał — rzekł spokojnie adwokat.
Edmund upadł na fotel, a adwokat dalej ciągnął:
— Józef odniósł kosztowne pudełko dnia marca r. Dnia marca hrabia Kirski wypłacał ogromne długi... z jakich funduszków, skoro hrabia był zupełnie zrujnowany?
— Jakaś sukcesyja! coś o tem słyszałem — zawołał Breme.

— Jeden z głównych wierzycieli Kirskiego zeznał, iż hrabia mu mówił, że fundusze otrzyma! zastawiając swoje rodzinne klejnoty. Bank Blanka wypłacał i układał się z wierzycielami. Zapytany Blank zeznał, że on te klejnoty przyjął w zastaw, i że otrzymał właśnie od hrabiego, który się za granicą oze- nił, wiadomość, że klejnoty te zostaną w tych dniach wykupione. Niestety za późno...

— W głowie mi się mięsza — przerwał Edmund — klejnoty Kirskich... pudełko!...

Blank...

Adwokat wyjął z kieszeni puzderko podłużne, małe, otworzył, podsunął pod oczy

Bremego brylantową, migotającą różę.

— To jeden z tych klejnotów — dodał.

— Boże! wielki Boże! — zawołał Edmund, zakrywając oczy ręką.

— Panie! — zapytał Breme po chwili długiego milczenia — czy nie wiesz kiedy się odbył ślub Kirskiego.

— I tem zajęło się śledztwo kilkodniowe. Ślub odbył się dnia marca roku;

dnia -go wiadomość ta była umieszczona w dziennikach warszawskich, i dnia tego

żona pana... w teatrze wielkim... w loży, w której była ze swą matką...

zemdlała... i tem się śledztwo zajęło — kończył z wysileniem mecenas.

Jeszcze chciał coś mówić, ale Breme jak szalony skoczył i wyleciał z pokoju. * * * Tego samego dnia, o dwunastej w nocy Marya zadzwoniła na służącą.

— Czy pan wrócił? — zapytała. — Wrócił, a u pana jest notaryusz — odrzekła pokojowa.

— Notaryusz? — szeptała Marya, opuszczając gorącą głowę na poduszkę.

Rano dowiedziała się, że Edmund w nocy wyjechał pociągiem do Wiednia, że na

biórku zostawił listy, że kazał powiedzieć, iż interes nieprzewidziany nie

pozwoił mu się z panią widzieć. Dowiedziała się dalej, że adwokat Borski, do

którego list noszono w nocy, znajduje się już w saloniku pana.

Czuła się trochę zdrowszą, więc kazała sobie podać szlafrok i wyraziła życzenie

udania się do pokoju Edmunda i widzenia adwokata.

Borski siedział w saloniku przylegającym do pokoju Edmunda i czytał po raz

dwudziesty może lakoniczne pismo swego klienta:

Skoro tylko pan dostaniesz ten list, udasz się do mojego domu, gdzie w obecności

mojej żony znajdziesz na biurku mem papiery. Jest to mój testament, którego

wykonaniem się zajmiesz; testament legalny, a kopia znajduje się u notaryusza.

Ja dla świata już w tej chwili nie żyję, a prawo pozwala mi rozporządzać moją

własnością. Co do reszty (podkreślone) postąpisz jak Ci serce człowieka honorowe

i przyjaźń dla mnie której dałeś dowody, postąpić poleci".

Adwokat się zamyślił.

Marya pojawiła się we drzwiach.

— Czemuż zawdzięczam tak ranną pańską wizytę? — zapytała, podając Borskiemu

rączkę. — Wezwany przez męża pani, który dziś w nocy wyjechał, i który nie wróci.

— Nie wróci? — zapytała, bledniejąc Marya.

— Tak mi napisał, a zresztą w pokoju jego na biurku leżą papiery, zawierające jego wolę, którą mi odczytać pani poleca.

— Chodźmy — rzekła Marya i chwiejnym krokiem podążyła ku drzwiom.

Na biurku leżała koperta pod adresem Borskiego.

Marya usiadła na kanapie w kącie.

Adwokat zabrał miejsce przy biurku i wyjmował z koperty stemplowane papiery.

"Akt, mocą którego Edmund Breme rozporządza całym swym majątkiem, mający wejść w życie dnia stycznia r. "

Odczytał głośno tytuł dokumentu.

Marya leżała na kanapie: oczy wlepiła w sufit.

— Czy mogę czytać? — zapytał Borski.

— Proszę! — odrzekła cicho. Mecenias czytał:

"Cały mój majątek darowuję ukochanej mej żonie Maryi z hr. Lawskich, obowiązując ją do wypełnienia następujących legatów:

) Wiernemu memu służącemu Józefowi Kałuckiemu, niewinnie posądzonemu o kradzież kosztowności, wypłaci zaraz gotówką pięćdziesiąt tysięcy rubli;

) Adwokatowi i memu przyjacielowi W-mu Borskiemu Adolfowi darowuję willę moją pod Warszawą;) Na rzecz ubogich miasta Warszawy ofiaruję sumę pięćdziesięciu tysięcy rubli.

Papiery i tytuły własności znajdzie moja żona w największym porządku w mem biurku i kasie.

Egzekutorem tego aktu mianuję W-go Borskiego.
Edmund Breme".

Mecenas skończył i podniósł oczy na Maryę, której bladość go przestraszyła.

Rzucił się ku niej.

Marya leżała nieruchoma, oczy w ślup — serce jej gwałtownie biło

— Prawdziwy dramat — szeptał Borski dzwoniąc na służbę.

— Prawdziwy charakter —

mówił do siebie — poświęcił się, by uratować nazwisko i kobietę.* * * "Kuryer Warszawski" d. -go lutego r. pisał:

"Otóż wyjaśniła się sprawa od roku zajmująca całą Warszawę,
— sprawa Bremowskich

brylantów, które się znalazły. Niewinnie na lat dziesięć
skazany sługa, został

uwolniony i tytułem wynagrodzenia hojnie przez chlebodawcę
uposażony, bo sumą

pięćdziesięciu tysięcy rubli, które mu gotówką wypłacono, i
za które tenże

zamierza sobie kupić ziemski majątek. W salonie już nam
znanym, huśtała się na fotelu hrabina Lawska, na której
twarzy

te kilka lat, znaczne wyrządziły szkody.

Pałac papierosa, przeglądała "Kuryerka".

Opodal na drugim podobnym fotelu nie huśtała się, lecz
siedziała Marya, blada,

czytając z zajęciem romans francuski.

Hrabina zatrzymała huśtanie się fotela.

— Czyś czytała dzisiejszy numer? — zapytała obracając się
do Maryi, a w oczach

jej zabłyszczał niepokój, niby radość, niby troska.

— Nie — odrzekła Marya, zaledwie odwracając głowę i dalej
połykała litery.

— Bo zawiera rzecz ważną dla ciebie, bardzo ważną —
mówiła hrabina.

— Cóż takiego? — zapytała również obojętnie, ale już
odkładając czytanie, bo
książkę przymknęła i spuściła na kolana.

— Rozwiązanie twego straszego dramatu, a może tylko piąty
akt — dodała hrabina.

— Niech mama przeczyta — rzekła Marya, opuszczając
głowę w tył i robiąc
ironiczną lecz niecierpliwą minkę.

— Czytam: W szeregach austriackiego wojska, w potyczce
ostatniej z powstańcami bośniackimi
zginął oficer Okryty chwałą, i od roku, jak opiewają
niemieckie dzienniki,
szukający śmierci na polu bitwy, obywatel naszego miasta,
któremu się
sprzykrzyły miliony i który przed rokiem zniknął bez śladu, p.
Edmund Breme,
licząc lat trzydzieści".

— Co ci? — zawołała hrabina, podbiegając ku Maryi.

— Ach! — odrzekła z grymasem, bledniejąc Marya — wie
mama, jak mi emocje
szkodzą.

— Zapomniałam!